z pod sinej

WYBÓR POEZYJ

TEGOŻ AUTORA WYSZŁY:

Poezye Serya I — wydanie trzecie
Poezye Serya II — wydanie czwarte
Poezye Serya III — wydanie trzecie
Poezye Serya IV — wydanie drugie
Poezye Serya V
Wybór poezyj (nowy)
Anioł śmierci — wydanie czwarte
Melancholia — wydanie drugie
Otchłań — wydanie drugie
Panna Mery
Wrażenia
Na Skalnem Podhalu I — wydanie drugie
Na Skalnem Podhalu II
Zatracenie
Hasła
Erotyki
Barykada (Poezye współczesne)
Rewolucya
Bajeczny świat Tatr
Wybór nowel

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER

WYBÓR POEZYJ

(NOWY)

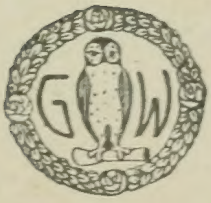

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1906

PG
7158
T4 A 17
1906

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

Nowy wybór moich poezyj (pierwszy wyszedł przed dziesięciu laty) obejmuje przedewszystkiem moje cztery pierwsze serye z wyjątkiem tych wierszy, które zostały wydane osobno jako «Erotyki»; poza tem weszło weń kilka fragmentów z «Haseł», «Marsz zbójecki» ze «Skalnego Podhala», fragmenta poematu dramatycznego i kilka wierszy z przygotowującej się do druku VI seryi poezyj. Piąty tom poezyj, wydany w 1905, oraz «Barykada» (Poezye współczesne) i «Rewolucya» nie zostały objęte wyborem.

TATRY

POZDROWIENIE.

Z ponad wiślanych leci fal
wiosenny, chłodny wiatr,
leci ku mojej ziemi w dal,
ku śnieżnym szczytom Tatr.

Wichrze! Nad wzgórza, pola nieś
me pozdrowienie ztąd,
rodzinną moją pozdrów wieś
i dunajcowy prąd!

Przydrożne wierzby, smreków las,
w ogródkach każdy kwiat,
i wszystkie łąki pozdrów wraz
i ludzi z wszystkich chat!

I do tych śnieżnych skał się zwróć,
ku stawom, chatom gnaj —
i pozdrów mi po tysiąckroć
mój cały górski kraj!

WIDOK ZE ŚWINICY DO DOLINY WIERCHCICHIEJ.

Taki tam spokój... Na gór zbocza
światła się zlewa mgła przezrocza,
na senną zieleń gór.

Szumiący zdala wśród kamieni,
w słońcu się potok skrzy i mieni
w srebrno-tęczowy sznur.

Ciemno-zielony w mgle złocistej
wśród ciszy drzemie uroczystej
głuchy smrekowy las.

Na jasnych, bujnych traw pościeli
pod słońce się gdzieniegdzie bieli
w zieleni martwy głaz.

O ścianie nagiej, szarej, stromej
spiętrzone wkoło skał rozłomy
w świetlnych zasnęły mgłach.

Ponad doliną się rozwiesza
srebrzysto-turkusowa cisza
nieba w słonecznych skrach.

Patrzę ze szczytu w dół: podemną
przepaść rozwarła paszczę ciemną —
patrzę w dolinę, w dal:

i jakaś dziwna mię pochwyca
bez brzegu i bez dna tęsknica,
niewysłowiony żal...

W LESIE.

Wolno i sennie chodzą
po jasnem tle błękitu
złocisto-białe chmurki
z połyskiem aksamitu.

Niekiedy się zasrebrzy
pod słońca blask z ukosa
jaskółka śmigła, czarna,
sunąca przez niebiosa.

Po łące cichej, jasnej,
w srebrne objętej ramy
przez opalowy strumień,
złote się kładą plamy.

Szmaragdem słońce błyska
na ciemnej drzew zieleni,
lub przez konary rzuca
ognistych pęk promieni.

Po niebie i po lesie,
po łąk zielonym łanie
przejrzyste, zwiewne idzie
błękitne zadumanie.

PRZY MORSKIEM OKU.

Ty martwa wodo wśród nocnej ciemnoty!
Jak ja ci twojej zazdroszczę martwoty!
Gdyby te wszystkie góry do twej fali
razem runęły: jeszcze ciężar ich
byłby mniej straszny, niż ten, co się wali
na pierś człowieczą ciężar przeczuć złych.

Huczą nad tobą burze, martwa wodo,
płomienną strzałą gromy toń twą bodą,
ale najdziksza górska nawałnica
tak nie zatarga twoich głuchych fal,
jak duszę targa daremna tęsknica
i żal, bezbrzeżny, beznadziejny żal.

Ku głębiom twoim, martwa wodo, ścieka,
wiecznie szumiąca z urwisk stromych rzeka;

nigdy się szum ten posępny nie zgłuszy,
nigdy, aż zwali się granitu zrąb — —
tak wiecznie szumi smutek w mojej duszy
pełnemi płynąc nurtami w jej głąb.

MELODYA MGIEŁ NOCNYCH.

(Nad Czarnym Stawem Gąsienicowym).

Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głę-
[binie...
Okręcajmy się wstęgą naokoło księżyca,
co nam ciała przezrocze tęczą blasków nasyca,
i wchłaniajmy potoków szmer, co toną w jeziorze,
i limb szumy powiewne i w smrekowym szept
[borze,
pijmy kwiatów woń rzeźwą, co na zboczach gór
[kwitną,
dźwięczne, barwne i wonne, w głąb wzlatujmy
[błękitną.
Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głę-
[binie...
oto gwiazdę, co spada, lećmy chwycić w ramiona,
lećmy, lećmy ją żegnać, zanim spadnie i skona,
puchem mlecza się bawmy i ćmy błoną przezroczą,

i sów pierzem puszystem, co w powietrzu krąg
[toczą,
nietoperza ścigajmy, co po cichu tak leci,
jak my same, i w nikłe oplątajmy go sieci,
z szczytu na szczyt przerzućmy się jak mosty
[wiszące,
gwiazd promienie przybiją do skał mostów tych
[końce,
a wiatr na nich na chwilę uciszony odpocznie,
nim je zerwie i w pląsy znów pogoni nas
[skocznie.

NA »ŻELAZNEJ DRODZE« POD REGLAMI.

Zwolna zachodzi słońce.
Rdzawią się gór zielone kopy i ubocze,
fioletu i ponsu plamy gorejące
na modro-siny granit kładą się powoli;
różowią się niebiosów błękitne roztocze,
złoto, szkarłat, fiolet, bronz, razem zmieszane,
na biało-żółtych chmurek rozlały się pianę,
z którą wietrzyk swawoli,
sunąc ją przez powietrznych fal bezdnie prze-
[zrocze.
Jakby przez mgłę przesiane
pada światło słoneczne na cichą polanę,
gdzie wśród jasnej zieleni,
tu owdzie koniczyny główka się czerwieni,
błękitnieje gorycoka, a brzegiem potoku
niezapominek modra koronka się mieni.
Niżej, na góry stoku,
za łanami zbóż sennych o blasku złocistym,
czerni się las smrekowy w otęczeniu mglistem

Cisza. Patrzę przed siebie,
źrenice moje błądzą po ziemi, po niebie,
idą przez ziemię cichą, szeroką, świetlaną,
płyną po nieba głuchem, niezmiernem prze-
[stworzu,
leniwo, wolno, jak łódź po spokojnem morzu,
gdy żagle pozwijano.
I ogarnia mię jakieś senne zamyślenie,
jakiś smutek, żal dziwny — i takie pragnienie
czegoś nieokreślnego duszę mą pochwyca:
że więcej bym owinąć nie pragnął w ramiona
tej, która mi na wieczność rzuciła wspomnienie...
I jakaś nieskończona,
nieskończona tęsknica
oblewa mię bezbrzeżnym marzeń oceanem,
na żądań zakrzewione wiedzie mię bezdroże...
Tęsknię za czemś nieznanem,
mistycznem i kryjomem,
za czemś, co mogło istnieć przed wieków
[ogromem,
albo stanie się kiedyś po wieków powodzi,
lub dziś koło mnie może
nieznane mi, przechodzi...
A wieki zmarłe i te, co przyjdą, w ogniwa
nigdzie nie przerwanego wszechbytu łańcucha,
wplatają, jako jedno z ogniw, mego ducha,
i duch mój się rozszerza, rozdala, rozpływa,

wciela się w czas i w przestrzeń i wszech-
[kształty — ginie,
nicestwieje wessany w bezdenie wszechbytu,
co jak olbrzymi polip, osnuł go milionem
ramion, splotów i więzów — nurzy się w głębinie,
przepada w nieskończonem...
A z skał sinego szczytu
schodząc, mrok się rozściela cichy po dolinie
i wielka melancholia nocy zwolna spływa,
zdobiąc sklep nieba pierwszą senną, bladą
[gwiazdą,
a myśl moja zmęczona do lotu się zrywa
i na jej łono leci, jak gołąb na gniazdo.

LIMBA.

Samotna limba szumi
na zboczu stromem,
u stóp jej czarna przepaść
zasłana złomem.

Wkoło się piętrzy granit
zimny, ponury,
ponad nią wicher ciemne
przegania chmury.

W krąg otoczona taką
pustką okrutną,
samotna limba szumi
bezdennie smutno.

MGŁY NOCNE.

W wąwóz, między dwie skały rozdarte, miesiąca
wbiegł krąg i zawisł w ciemnych niebiosach
[promienny,
i rzucił w dół swe światło; na załom kamienny
padło, gdzie się przewala kaskada hucząca.

Światło srebrzystą łuskę rzuca po strumieniu,
na cały wąwóz prószy z księżyca pył szklany,
srebrzą się sine, w niebo strzelające ściany
i czarne, głuche morza lasów w oddaleniu.

Na zboczach, wśród omglonych limbowych gałęzi
świecą gwiazdy złociste — zda się, że z niebiosów
spadły na twarde czoła kamiennych kolosów
i odbite zawisły w iglastej uwięzi.

Cisza — — tylko dźwięk szumu słychać w skalnej
[dziczy,
jakby skały i wody i limby i jodły,

rozkołysaną, senną mowę z sobą wiodły
o rzeczy pełnej grozy, wielkiej, tajemniczej.

Mgły snują się w powietrzu, drżące i niepewne,
zda się, jakby dzwonienie szumu kołysały
i niosły je od jodeł i limb między skały — —
płyną — znikły w rozłomach, lotne i rozwiewne.

Znów wylatują z za gór i na kosodrzewie
oparły lekkie stopy, rozsnuły warkocze,
rozwiały skrzydeł błony szerokie, przezrocze,
i ważą się przy wiatru rytmicznym powiewie.

Już płyną w dół na lasy — na wierzchołków fali
rozesłały się czarnej — na ich ciała mgliste
księżyc rzucił blask świetlny i całe srebrzyste
leżą, jak welon z płynnych dziergany opali.

Wtem podniosły się w górę — lecą — wkoło [szczytów
wiją wieńce, pląsają — złączyły się społem —
wiatr podbił je — zawisły nad kamiennem czołem
i uleciały w przestrzeń gwiaździstych błękitów.

W KOŚCIELISKACH W NOCY.

Jaka cisza! Jak dziwnie wyglądają drzewa — —
jaki dziwny szum wody — — coś, co niepokoi,
snuje się po dolinie, wśród gęstwin się roi — —
lęk ciche mgły swych skrzydeł w powietrzu
[rozwiewa,..

Jakie dziwne niewidny księżyc światło zlewa — —
jaki dziwny, posępny, wielki cień tam stoi —
zda się, widmo u groty głębokich podwoi — —
jak dziwnych głosów echo zkądś wśród gór po-
[brzmiewa...

Zda się, że coś zawodzi skowyczy i płacze —
cicho!... Jaki dreszcz szybko przemknął się
[gęstwiną —
gdzieś w lesie zajęczały ponuro puhacze...

Tu — mogiła pod stosem chrustu i smreczyną —
zwierzę jakieś ze stosu w ciemną gęstwę skacze —
jaki dziwny czar idzie Kościelisk doliną...

DO SZCZYTU.

Szczycie górski, wysoki, owieńczony chmurą,
do ciebie wznoszę wzrok!
Skuty z ziemią duszącą, ciemną i ponurą,
do ciebie, co królujesz tam ponad naturą,
pod nieba wspięty stok;

do ciebie wznoszę oczy, wygnaniec na ziemi
z wysokich, górskich stron;
ku tobie się oczyma patrzę tęskniącemi —
szczycie! szczycie owiany śniegami białemi,
w obłoków wbity szron!

Tam ku tobie, tam nigdy nie doleci podły,
nikczemny ziemi dech!
Tam wicher ci donosi z lasów zapach jodły
i z upłazów, co turnie zielenią obwiodły,
limbowych zapach wiech.

Tam wicher tylko wyje, tam grom tylko ryczy,
tam jęczy tylko grad —

tam nic niema, prócz pustki, potęgi i dziczy,
tam przestrzeń!... Tobie szturmem nie śmie na-
poziomy grozić świat!... [pastniczy,

Szczycie górski! Podnoszę ku tobie źrenice,
podnoszę tęskny wzrok —
daj mi, o! daj mi jedną twoją błyskawicę,
daj mi jeden blask czysty, co przez twe śnieżyce
i mgieł przelata mrok!

Światła twojego pragnę, błysku twego proszę,
czystego ognia z gór;
cząstki twej błyskawicy, co przez twe pustosze
leci, jak od rumaków Apollowych łoszę,
a chmury grzmią mu wtór!

Bowiem patrz! Dusza ludzka wali się i kona,
jej strawą: pył i kurz!
dusza ludzka jest prochem ziemi udręczona,
ona chce wstać i wzbić się!...

BURZA.

Nad Gerlachem zawisnął kłąb czarny, olbrzymi
zawichrzonych obłoków, raz wraz ogniem pryska,
grzmotu huk się roztrąca o skalne zamczyska,
waląc się złom odbity skry krzesze i dymi.

Wzdymaj się nawałnico!... Jak na morzu wzdętem
łódź wiruje: tak moja myśl wiruje w tobie,
leci z twemi ptakami o płomiennym dzióbie,
upaja się do szału ogniem i zamętem.

Wzdymaj się nawałnico!... Druzgocz twarde złomy,
wywracaj lasy, jezior pruj głębiokie tonie,
pędź zniszczenia i śmierci straszliwy demonie,
pędź duchu wśród błyskawic jaskrawych widomy!

Wzdymaj się nawałnico!... Łeb swój pochyl turzy,
uderz w ziemię, aż jęknie; ślepiami krwawemi
nieć pożary, aż ogień buchnie po wszechziemi,
aż spopieleje cała!... Pędź demonie burzy!

Przegnała nawałnica... Wzrok rzuciłem na dół
myśląc, że świat zobaczę odmłodzony, świeży — —
kilka drzew zdruzgotanych w mętnej wodzie leży,
lecz nie zmienił się w niczem smutny ziemski
[padół.

POTOK.

W skrzesanych turni rozpadlinie,
w zawrotnej wysokości skalnej,
szumiący, bystry potok płynie
niedosłyszany, niewidzialny.

Ze źródeł pod szczytami ścieka,
gdzie tęcza wiesza świetny nimb,
a szumu jego tam zdaleka,
samotnych słucha garstka limb.

Jak poświst wiatru w chmur pomroczy,
tam, z dołu, z ziemi, niesłyszany:
on szumi — i wód fale toczy
między skrzesane, ciemne ściany.

W koło jest pustka tak ponura,
takiego chłodu wieje prąd:
że nawet orły strzępią pióra
i odlatują szybko stąd.

I tylko potok sam, samotny,
potok potężny, srebrnopiany,
szumi w wyżynie tej zawrotnej
pomiędzy ciemne płynąc ściany.

Szumi i pędzi — i z urwiska
przez głaz, co góry z sobą skuł,
w otchłań się czarną srebrny ciska
i leci bez pamięci w dół.

Fala za falą rwie się, pieni —
potok samotny, tryumfalny
płynie wśród ciemnych cisz i cieni,
niedosłyszany, niewidzialny.

Haha! Jak krążą ponad szczyty
kłęby obłoków z wichrem w tan!
Mgieł tuman w lot się porwał, wzbity
zamachem wichru z skalnych ścian!

Haha! Jak kłębią się i plączą,
jak się motają z sobą, wznoszą,
w dół opadają — i znów rączo
nad wierchów suną się pustoszą...

Haha! Jak gwiżdże wiatr i huczy,
jak huczą złomy stromych ścian —

zda się, że Szatan tu się włóczy
i w róg uderza, pustyń Pan...

A w głębi cicho, ciemno, mroźno —
w zawrotnej skalnej rozpadlinie,
w straszliwej ciszy pustką groźną
szumiący, bystry potok płynie.

Niedosłyszany, niewidzialny,
skąd wstaje tęczy świetny nimb,
płynie, a jego tryumfalny
szum słyszy garść samotnych limb.

Płynie i fale z góry ciska
w bezdenną ołchłań, w zwał granitów,
i szum szeroki tam, z urwiska,
rzuca w dół z falą z chmur i szczytów.

NA SAMOTNEJ DRODZE.

Na mej duszy strunach dłonie
ty, o wichrze, złóż:
graj, co marzą jezior tonie,
co śnią światła zórz...

Graj, co szumią tam z przełęczy,
senne limby te...
Graj, co marzy koło tęczy
w otchłani na mgle...

Co najskrytsze, co najcichsze,
co stracono gdzieś,
co najdalsze: ty, o wichrze,
do mej duszy nieś...

CIEMNOSMRECZYŃSKI STAW.

W kotlinie, wśród kamieni
i pordzewiałych traw,
w posępny blask się mieni
ciemny i cichy staw.

Nad nim się piętrzą zwały
nagich, skrzesanych ścian,
mech pnie się osiwiały
i kosodrzewu łan.

Niezmierna martwa głusza
zaległa skał tych kąt:
przeciągła pieśń pastusza
nigdy nie zabrzmi stąd.

Czasem się wiatr w kotlinie
z skalnych przetacza wrót,
po kosodrzewie płynie
i mąci ciszę wód;

czasem się złom rozkrusza
od ryku wściekłych burz —
zresztą niezmierna głusza,
martwota pustych mórz.

Gdym się raz patrzał z góry,
błądząc po wierchach sam,
w kotliny głąb ponurej:
ujrzałem marę tam.

Z dłońmi załamanemi
u skalnych legła stóp
i kryła twarz ku ziemi,
smutna, jak śmierć i grób.

Nie wiem, czy w to bezdroże
upiory schodzą śnić?
Czy czyja dusza może
swój ból tu przyszła kryć?...

LIST HANUSI

LIST HANUSI.

Kochany Jerzy mój! Pisę tu ztela
ten list do tobie, a pisęcy płacę.
Świat mię calućki nic nie uwesela,
kie w lesie pasem, hnet krowy potracę,
bo syćko myślem, kielo nas ozdziela
kraju i cy cię tyz jesce zobacę?
Kiebyś ty wiedział, jakoś mię zasmucił
mój złociusieńki, tobyś sie haw wrócił.

Głowa mię boli, serdecka nie cuję,
łzy ino syćko z ocy mi sie lejom,
nik tego niewi, za kim jo banuję,
ale sie ludzie nascy se mnie śmiejom.
Zal mie za tobom wciągle w serce kłuje
i nie wiem, ka sie me ocy podziejom
od tyk łez. Widzi sie, co mnie powiezom
wnetki hań w trumnie, ka ojcowie lezom.

I juzbyk cheba ja sama wolała
lezeć hań, niźli tak płakać daremno,

a kie spać legnem, to poduska cała
mokra, kie wspomnem, jakeś ty spał ze mną.
Chwilo jedyna, kaześ sie podziała,
kieś ty przychodził ku mnie w nockę ciemną
i kieś mię objon tak serdecnie w rence,
jakbyś przy miejskiej lezał ka panience.

Ja znam, ze biedna ja sprosta dziéwcyna
góralska, o mój ty nojsłodsy, złoty,
to nie dla tobie, dla pańskiego syna,
ale juz ledwie wytrwam od tęsknoty.
Dusa cię ino syćko przypomina,
nijakiej nimam do jadła ochoty,
ani do tańca. Chłopcyska sie śmiejom,
a moje siwe ocy wciąz łzy lejom.

Kie na odwiecerz przed chałupom stanę,
pojźrę, jak słonko za wirchy się kryje,
wspomnę, jak my się pod ten samom ścianę
kryli: to zal mię mało nie zabije,
a serce moje, jakkieby pijane,
tłuce się w piersiak. Tęca wodę pije
z rzeki, ale tych łez wypić nie musi,
co ocy twojej wypłacom Hanusi.

Jasiek tu chciał mnie brać, a mama z tatą
straśnie go radzi widzom, ale ja nie.

Powiedziałak mu, ze się przódziej lato
zimom, a zima przódziej latem stanie,
niźli ja bedem jego. Więc się na to
ozgniwał i rzekł, co on mię dostanie,
chebaby w niebie miesioncek zaginon,
abo Dunajec w górą się przewinon.

Miałeś tu do nas przyjechać na Gody,
tagek cię ino syćko wyglondała,
a tak mi było, jak rybce do wody,
jazek się sama do się głośno śmiała.
Ale juz wsendy potajały lody
i śnig juz w turniak wyginon bez mała,
a tobie nimas jednako nikany,
mój złociusieńki i umiłowany.

Aniś nie pisał do mnie dawno. Moze
jaka cię chorość nasła, mój jedyny,
abo co ine, od cego chroń Boze!
Nie zabacujze tak swojej dziewcyny.
U nas som zdrowi w chałupie, niemoze
ino Jagnieska Bartkowej Maryny.
niech cie Bóg strzeze i Najświętsa Panna
Ludźmirska. Twoja tu ostajem.

Anna.

MARSZ ZBÓJECKI
ZE „SKALNEGO PODHALA“

Hej! idem w las — piórko sie mi migoce!
Hej! idem w las — dudni ziemia kie krocę!
Ka wywinem ciupazeckom — krew cérwonom
[wytocę!
Ka obyrtnem siekiéreckom – krew mi z pod nóg
[bulkoce!

Ciémniuśka noc — ogień lase przeświéca!
Ciémniuśka noc — złe sie złemu zaléca!
Na polanie popod jedle — watra w lesie sie pali;
cy sie grzejom dziwozony — cy jom carci skrze-
[sali?

„Ty mlady brat — ty sa s nami stowarzis!
Jak padnie ci — budzies cirnom ziemie gryz,
a jak padnie — talorkami, dukotami budzies siał,
na kozdy dzień freirećku — kohanećku budzies
[miał!“

Hej bratowie! — ja sa ku wam zwerbuje!
Nie płaccie mi — kohanecki leluje!

Nie płaccie mi, siostry moje — jabłonecki bie-
[lućkie!
Nie pładze mi matko, ojce — gołąbecki siwućkie!

Nie płaccie mi — jo se idem zbijać, kraść!
Za dak mi las — za posłanie mokwa, chraść!
Jak mi padnie talorami — dukotami bedem siał!
A jak padnie siubienicom — budzie se mnom
[wiater kwiał!

Z „ZAMYŚLEŃ“

I.

Cicho i wolno, jak mgła, co się zrana
z nad łąk podnosi przy lekkim powiewie
wschodniego wiatru i w przestrzeń ulata:
tak nieraz myśl ma tęskna, zadumana,
podobna z nad mórz wzlatującej mewie
wznosi się w przestrzeń nadziemskiego świata.

I jest to moja najmilsza godzina
lecieć tą pustką cichą i przejrzystą
ponad kopułę niebiosów — — w bezmiary...
Zrazu mię jakaś toń okala sina,
powoli w głąb się mieniąca świetlistą,
gdzie biało-złote włóczą się opary.

Potem jest jasność niezmierna, zamyśleń
i ciszy pełna, nie wiem skąd idąca,
bo nigdzie światła nie widać krynicy;
przestrzeń bez żadnych dla oczu zakreśleń,
blask większy, niźli promienienie słońca,
lecz nie rażący jaskrawo źrenicy.

I głusza kotlin i jakby harmonii
leśnej podźwięki i wielka, niezmienna
spokojność jezior widnych w oddaleniach — —
i w owej pustej, niezgłębionej toni
myśl ma zawisa nieruchoma senna,
podobna orłom, co zasną w przestrzeniach.

— ——— —

V.

Cudowna nocy, słodka i kojąca!
Oto ma dusza znużona i blada
na łono twoje bezsilnie upada
pod blask miesiąca.

Ciche ją światło obejmuje całą,
usta jej pieszczą łagodne promienie
i dziwne schodzi senne zachwycenie
na półomdlałą.

Zwolna ramiona zmęczone rozszerza,
otacza niemi słup światła przezroczy
i upojona, światłem sycąc oczy,
płynie w bezmierza.

Zbłąkany w drodze na jej bladej skroni
gwiazdy spoczywa promień modro-złoty,
niosąc jej z sobą marzące tęsknoty
ku wielkiej toni...

I zdaje mi się, że tam zkądś, z ciemności,
wychodzi postać jakaś jasna, cicha,
i do mej sennej duszy się uśmiecha
pełna miłości.

Zda mi się, jakby wychodziła ku mnie
ta moc, co w wodach jest, górach, błękicie,
gwiazdach i kwiatach, wszędzie — — która życie
obudza w trumnie.

VII.

Żegnam cię, ty promienna, jasna, kryształowa,
rozkwitającą, bujną wiosną woniejąca,
bądź zdrowa złota zorzo pogodnego słońca,
czarodziejko potężna, wszechmocna — — bądź
[zdrowa!

Żegnam cię, ty, co wiedziesz na spiże i miecze,
na rozszalałe fale, we wrące płomienie;
na drogi, gdzie strach blady mieszka i cierpienie,
gdzie zaraza strudzoną śmierć za sobą wlecze,

nie zdejmując uśmiechu z twarzy, ani chłodu
przerażeń w krew nie sącząc; ty, co nowe moce
dajesz ludziom, gdy los ich złamie i zdruzgoce,
i cenniejszą nad wszystko — niepamięć zawodu...

Żegnam cię! Jak z innymi, przyszłaś na świat
[ze mną,
lecz mi cię wydzierano i w końcu wydarto — —
wiaro w życie! żegnam cię! żegnam cię!... Nie
[warto
żyć bez ciebie, a chcieć cię odzyskać — — da-
[remno...

VIII.

Nie mam już dziś przy sobie nikogo, nikogo,
pusto jest w mojej duszy i pusto dokoła — —
idę mą głuchą, smutną i męczącą drogą
bez kierunku, bo nikt mię i nic mię nie woła.

Zda mi się, jakbym kędyś wieczorną ciemnotą
ogarnięty, powoli przez puste szedł pole,
zasłane brudnym śniegiem, topniejącym w błoto —
gdzieniegdzie sterczą głuche, posępne topole.

Las jakiś ciemny, smutny widnieje daleko,
z mglistych, ciężkich niebiosów księżyca promienie
przez powietrzne pustynie ospale się wleką
ku ziemi, ledwie świecąc. Dokoła milczenie.

Idę patrząc przed siebie — — oczy moje giną
w szarości chmurnej, chłodnej, rozsnutej dokoła —
śnieg koło topól leży masą biało-siną —
idę bez celu — — nikt mię i nic mię nie woła.

XVII.

Czasem zda mi się, że to wszystko sen,
przestrzeń mej myśli i cały świat ten,
ziemia i błękit i światła w błękicie,
i bóstw idea władających skrycie.

Snem mi się zdaje Chrystusowy cień,
snem noc zwątpienia, snem nadziei dzień,
snem zło i dobro, snem śmierć i tworzenie,
snem byt, snem nawet własne me istnienie.

A kędyś ocknąć się mam z tego snu,
gdzie? kiedy?... nie wiem, li wiem, że nie tu;
a tak się ocknąć mam, jak dziecko po śnie
strasznym, co przez łzy śmieje się radośnie.

Gdzie? kiedy?... nie wiem, ni wiem, co jest tam,
kędy się ocknąć ze snu życia mam...
Zda mi się — — jasność wielka, nieprzejrzana,
w jasności jedność w jedno z nią współzlana.

Ach! Gdybyż nigdy nie rzucała mnie
z myśli najlepsza, że ja tylko śnię,
że cała nędza życia jest zwodniczem
widzeniem tylko, że wszystko jest niczem ..

XIX.

Czcze wyobraźni odeszły mnie mary,
znów jestem sam ze sobą, z moim duchem — —
oczy me giną w jakiejś pustce szarej,
i myśl ma tonie w jakiemś morzu głuchem.

Prysły wiążące mnie z światem ogniwa:
całe me życie jest we wnętrzu mojem,
cała moc duszy z zewnątrz w jej głąb spływa
i drży, szarpana dziwnym niepokojem...

Widzę oczyma wewnątrz zwróconemi
czarne jeziora rozsiane w pustkowiu:
w ciemnościach księżyc, blizko skraju ziemi,
wisi podobny do tarczy z ołowiu.

Ponad czarnemi wodami szuwary
i trzciny rosną i smutno szeleszczą;
sklep nieba zda się sklepieniem pieczary,
głęboką jamą, ciemną i złowieszczą.

Po czarnych wodach światło ciche, złote
księżyca, chodzi wstęgą szklistą, drżącą,
i, jako lampa zaniesiona w grotę,
świeci w ciemnościach mglisto i mdlejąco.

Widzę oczyma wewnątrz zwróconemi,
jak duch mój, marze skrzydlatej podobny,
błąka się w owej pustej, martwej ziemi,
a blask księżyca pada nań żałobny.

Idzie powoli i zwieszone włóczy
skrzydła po jezior wodzie szklistej, błotnej — —
na własnych stopach opierając oczy,
idzie w głąb głuchą i ciemną samotny.

XXI.

Boże, ukryty tam gdzieś na niebiosach,
ileż-to razy w rozwichrzonych włosach,
z załamanemi na oczach rękami,
z pianą na ustach i z krwią, w poszarpanej
szacie pielgrzymiej, przez chmur nawałnice,
przez grzmot ciemności i gwiazd huragany,
odmęt dróg mlecznych, warczące mgławice,
huk i wir komet o złotych ogonach,
przez nieskończoność, wieczność, co skrzydłami
wieją nademną, niosące w swych szponach,
jak para orłów żerujących wraz,
pobite łupy swe, przestrzeń i czas:
dusza ma leci do Cię, przed Twój próg,
całą tę wzgardę, którą w nią wtłoczyła
ludzkość nikczemna, zła, ciemna i zgniła,
rzucić i pytać: czy patrzysz Ty, Bóg?!

Z „PRELUDYÓW“

Gdyby ból każdy w ludzkiej piersi skryty,
jednę litości łzę wycisną z oczu,
a łzy gwiazdami zaślniły w przezroczu;
to stałaby się błękitów opona
jako kopuła lita, z gwiazd sklepiona,
choć w nieskończoność ciągną się błękity.

I.

Na jakichś pustyń niezmiernych ogromie,
co w cichych mroków oceanie toną,
cień w długiej szacie stoi nieruchomie
z głową bezwładnie na piersi zwieszoną.

Miesięczna jasność, co na twarz mu pada,
rysy jej rzeźbi i oświetla chwiejna — —
ah! Chrystusowa to chyba twarz blada,
taka bolssna, taka beznadziejna...

II.

Życie — to zwykłe życie ciche, szare —
kiedy mnie w swoje chwyciło ramiona,
jak wampir z duszy mej wyssało wiarę,
tę krew, bez której dusza schnie i kona.

Nie ową wiarę dziecka, co się z trwogi
przed mściwem bóstwem w modłach w prochu [ściele,
lecz tę, co każe wierzyć w dobre bogi
w olbrzymim życia władnące kościele.

III

Kiedy patrzę na nędzę, co jest życia rdzeniem,
nędzę ludzi i zwierząt i roślin: ból, trwoga,
bezradność mię owłada i chciałbym do Boga
wołać o miłosierdzie, o żal nad istnieniem.

Ale nie mogę wołać... Jest coś, co okową
żelazną pierś mą ściska i słowa w niej ścina,
do ust z serca bijące, jak z ognia lawina — —
i milcząc patrzę w wielką przestrzeń lazurową.

IV.

Stokroć jest drzewu skazanemu lepiej,
jeśli je piorun odrazu rozszczepi,
niż kiedy czerw mu wśliźnie się pod korę.
i zwolna drzewo schnie i ginie chore.

I ludziom lepiej, jeżeli zwycięzko
losy ich zmogą jedną wielką klęską,
niż jeśli codzień po kropli im bryzną
w żyły powolną, lecz pewną trucizną.

V.

Szalone słonie przed się pędzą
nie wiedząc dokąd, ani po co?
Nie dbając, co obalą piersią,
co pod nogami podruzgocą?

Tak i konieczność przed się pędzi
i próżną wszelka tu obrona — —
ni ją Prometeusza rozum,
ni Heraklesa moc pokona.

VI.

Czasem nagle uczuwam naokoło siebie
taką straszną samotność, że wzrok kryję w dłonie,
by nie widzieć tej pustki na ziemi, na niebie,
a w oceanie smutku dusza moja tonie.

I żadne mi już ziemskie nie starczy kochanie:
pragnę nad śmierć silniejszej, mistycznej miłości,
a dusza moja, tonąc w smutku oceanie,
dzieciom u stóp Chrystusa uśpionym zazdrości.

VII.

Idzie na pola, idzie na bory,
na łąki i na sady,
na siwe wody, na śnieżne góry,
na miesiąc idzie blady,

idzie w niezmierną otchłań wszechświata,
zkąd blask dróg mlecznych prószy,
idzie błękitna, cicha, skrzydlata
muzyka mojej duszy.

XXIV.

Po szerokiem, po szerokiem morzu
płynie okręt z kotwicą urwaną,
wiatr go pędzi coraz dalej, dalej
w przestrzeń pustą, chmurną, ołowianą.

Po szerokiem, po szerokiem morzu
nie do brzegu ty płyniesz, okręcie,
o podwodną gdzieś uderzysz skałę
i bez śladu przepadniesz w odmęcie.

XXV.

Czasem, gdy długo napół sennie marzę,
cudny kobiecy głos mię zkądś dolata,
anielskie jakieś śpiewający pieśni,
piękniejsze, niźli wszystkie pieśni świata.

W głos ten się całą zasłuchuję duszą,
serce mi z piersi tęsknota wyrywa,
poszedłbym za nim wszędzie, wszędzie... Niewiem,
czy to się miłość, czy śmierć tak odzywa?

XXVI.

Ponuro gwiżdże północny wiatr,
świat ginie w chmurze śnieżnej —
zda się, że piersi rozerwie mi
żal gorzki i bezbrzeżny.

Więc bez odpłaty za młodość mą
życie mi całe spłynie?
Nie wstanąż szczęścia dni?... Gwiżdże wiatr,
świat w chmurze śnieżnej ginie.

XXVIII.

Lubię więdnące kwiaty, pełne bladej ciszy,
oczyma się patrzące w niebo omdlałemi —
modlitwę ich przedśmiertną ucho moje słyszy,
pożegnanie i razem powitanie ziemi.

Gdybyśmy tak umierać mogli, jak te kwiaty,
ziemię żegnać i ziemię wraz witać rodzicę,
a nie jakieś zaziemskie gdzieś przeczuwać światy,
błędnym wzrokiem w straszliwą patrzeć taje-
[mnicę...

XXX.

Pamiętam ciche, jasne, złote dnie,
co mi się dzisiaj cudnym zdają snem,
bo był otwarty raj także i mnie
w dzieciństwie mem.

I czasem myślę, żem ja tylko spał,
że całe życie moje było snem — —
zbudzę się, raj ten odnajdę, com miał
w dzieciństwie mem...

XXXI.

Ku mej kołysce leciał od Tatr
o skrzydła orle otarty wiatr,
o limby, co się patrzą w urwisko —
leciał i szumiał nad mą kołyską.

I w serce moje na zawsze wlał
tęsknot do orlej swobody szał
i tę zadumę limb, co się ciszą
wielką objęte, w pustce kołyszą.

XXXII.

W wieczorną ciszę zdaleka słyszę
szumiące cicho rzeki;
myśli me zwolna, sennie kołysze
szum cichy i daleki.

Wolno i sennie w wielki bezdennie
świat myśli moje płyną,
płyną nad gwiazdy lśniące promienie
i w ciemnej pustce giną.

XL.

Skonaj ty serce wprzód, nimby cię miano
zdeptać szyderczo, lub karmić jałmużną;
nie patrz już w przeszłość — umarli nie wstaną,
ani patrz w przyszłość — pocóż czekać próżno?

W ciosaną z marzeń i tęsknoty trumnę
włożone zaśnij i śpij nieprzespanie
na ból za martwe, na skargę za dumne — —
śpij — — oto słońce zaszło i nie wstanie

WIERSZE RÓŻNE

CZĘŚĆ PIERWSZA

CREDO.

Jutro?... Nie wierzę, aby lepiej było
i nie zazdroszczę już tej wiary — dzieciom...
Poco się łudzić? Wydarte stuleciom
posępne, smutne, zimne doświadczenie
złudzeniom wszelkim na czole wyryło:
»śmierć i nicestwo!«... zabiło złudzenie...
I tylko dziwna, mistyczna, szalona
chęć tą ohydną wstrząsnąć ziemi bryłą,
świat cały, jak jest, pochwycić w ramiona,
z posad go dźwignąć i na nowe koła
jakiebądź rzucić, gdy te, co go toczą,
we łzach się pławią i we krwi się broczą;
i tylko głos ten, co nas w noce woła
z złem walczyć nie przez ufność odrodzenia,
lecz przez nienawiść ku złemu dla złego,
i żądzę, ssaną z powietrzem, niszczenia:
jest naszą wiarą. A choć czasem ona
omdlewa w piersiach, to wnet zmartwychwstawa,
jako z popiołów Feniks, odrodzona,

i jak kometa błyska ludziom krwawa,
której płomienie może świat zażegą.
My nienawidzim zła dzisiejszej doby — —
jutro?... To jutro?... Jutro, marzyciele,
przeklinać własne swe będziecie próby,
nowe zło w nowem odkrywając dziele.
Jutro, trawieni nowemi choroby,
szukać będziecie nowego systemu
leków i zbawień, a nie mogąc męce
ulżyć, bezsilni załamiecie ręce,
bo póki ludziom trwać, póty trwać złemu.
Lecz naprzód, naprzód! Niechaj zbrodnie stare
ustąpią nowym — nim się te przeżyją --
ścigajcie marzeń cudną, a czczą marę,
jak ci ścigali, co dziś w grobach gniją.
Lecz naprzód, naprzód! Łudźcie się, Ikary,
że potraficie dolecieć do słońca,
w zdobyte niebo wstąpić z człowieczeństwem,
a potem -- widźcie, że próżne ofiary,
że przemoc złego jest wiecznotrwająca,
zwątpcie, zrozpaczcie i gińcie z przekleństwem!
Bo niczem innem nie jest chód ludzkości,
tylko przemianą zła wieczyście trwałą;
o Chrystusowej marząc wszechmiłości,
deptajcie wroga, co was przedtem deptał,
drżąc, że już rośnie mściciel z jego kości,
co was obali, jak kłodę zbutwiałą,

i znów was zdepce, gdy już krew wychłeptał.
Brutalna siła, która rządzi światem,
wybawicielem nie jest, ani katem:
ślepa i głucha, zimna, obojętna,
idzie bez celu i nie władnąc, włada,
niedba, gdzie jakie pozostawi piętna,
kto pod jej nogą powstaje, kto pada?
Nienawiść dźwignią jest świata — niech działa
ta najsilniejsza potęga ludzkości:
jeśli potrafi i dusze i ciała
na wskróś przekształcić, zabić w ludziach zwierzę:
wówczas dopiero w królestwo miłości
ewangelicznej na ziemi — uwierzę.

DUCH.

Zda mi się czasem w noc,
że duch mój idzie przez miasta i sioła
z płomiennym mieczem nicestwień anioła,
każdy krok jego jest jako chód burz,
obala gmachy i pałace w kurz,
wszystko, co spotka na swej drodze, niszczy,
i nie zostawia nic, prócz martwych zgliszczy.

Ludzkość mu cała klnie,
przekleństwa ciska mu na głowę hardą,
a on jej zimną odpowiada wzgardą,
i dumny, wyższy nad ten cały tłum,
idzie, jak wichrów i pożarów szum,
wszystko, co spotka na swej drodze, niszczy,
i nie zostawia nic, prócz martwych zgliszczy.

Ze snu otrząsam się
i ducha tego o oczach szatańskich
chcę spętać, przykuć do turni tatrzańskich,

lecz on, drwiąc, ręce me odpycha precz,
i swój płomienny w górę wznosząc miecz,
wszystko, co spotka na swej drodze, niszczy,
i nie zostawia nic, prócz martwych zgliszczy.

I ulec muszę mu,
a on zapala gwiazdę na swej głowie
i pokazuje mi ziemskie pustkowie,
gdzie zniszczył wszystko: i dobro, i zło —
i miecz odrzuca złoty ogniów rdzą,
i utrudzony po unicestwieniu,
spoczywa w głuchem, wieczystem milczeniu.

KTÓŻ NAM POWRÓCI...

Któż nam powróci te lata stracone
bez wiosennego w wiośnie życia nieba?...
Wołają na nas, że w złą idziem stronę
precz o świat troskę rzucając powinną,
a czy pytają się nas, co nam trzeba
i czyśmy mogli obrać drogę inną?

Kto z was policzył te gorzkie godziny
daremnych pragnień, żrących naszą duszę?
Kto zmierzył smutku naszego głębiny
bez dna i brzegu? Kto wie, jakie ducha
niepodległego straszne są katusze,
gdy zerwać swego nie może łańcucha?

Spójrzcie nam w mózgi — — zgryzły je, strawiły
wrodzone ludziom daremne pragnienia.
Wołacie na nas: »Jesteśmy bez siły,
dajcie nam słowa wiary i otuchy« — —

a nam któż daje słowa pocieszenia?
a któż mdlejące nasze wzmacnia duchy?

Któż nam powróci te lata stracone
bez wiosennego w wiośnie życia nieba?...
Chcecie w nas widzieć dźwignię i obronę,
żądacie od nas zbawień i pomocy,
lecz my, z waszego wykarmieni chleba,
jak wy, nie mamy odwagi i mocy.

ZWĄTPIENIE.

Myśli są moje dziś jako żeglarze.
co na wód wielkim zbłąkani obszarze
wśród chmurnej nocy, z wolą wiatrów płyną,
ster opuściwszy, zdjąwszy z wioseł dłonie.
Próżno wzrok silić — — w mrokach nocnych
[tonie,
jak kamień w morskiej nieprzejrzanej fali.
Drogę zgubili — — ku jakim zawiną
lądom, nie dbają... a dalej i dalej
wiatr okręt pędzi i coraz nad głębią
ciemniejsze, grubsze obłoki się kłębią...
Zgubiłem drogę — — w te gmachy przy-
[szłości,
pełne wesela, ciepła i jasności,
które się dźwignąć mają na ruinie
starego świata, co gnije i ginie:
chciałbym uwierzyć, lecz wierzyć nie mogę,
i coraz większa pustka jest przedemną,

oczom mej duszy coraz bardziej ciemno — —
dokąd iść?... nie wiem — — zgubiłem mą drogę.

* * *

Wy, których serca i ramiona krzepi
w mozolnej walce o idej zwycięstwo,
na które stary świat rzuca przekleństwo:
wiara, że będzie po zwycięstwie lepiej,
wiara, że wasza niemylną jest droga,
że prawdziwego poznaliście Boga,
wiara, że szczęście przyniesiecie w darze
nowemu światu, co z ruin powstanie,
wy, co ufacie, że dzień się ukaże
dobra i piękna: jak ja wam tej wiary
zazdroszczę silnej!... Dla mnie te sny złote
mózgów płomiennych są, jako czcze mary...
I coraz większą w oczach mam ciemnotę,
i chciałbym wierzyć, lecz wierzyć nie mogę...
Dokąd iść?... Nie wiem — — zgubiłem mą drogę.

CISZY, PRZESTRZENI...

Ciszy! Przestrzeni! Światło! O ty święta
trójco mej duszy! Do ciebie ramiona
wznoszę bolesne... Otom jak w pustyni:
wiatr na pierś piasku mi rzuca brzemiona,
nogi me tuman rozżarzony pęta,
strach w kość mi wchodzi, w oczach noc się
[czyni...
Co jest przed światem? Co jest przed człowie-
[kiem?
Co jest przed duchem?... Milczenie!.. Milcze-
[nie!...
W uszach mych huczy rwący wiek za wiekiem...
pędzą... Przelata cała ludzka fala,
przelata całe odwieczne Istnienie...
Jak się lawina głazów w przepaść zwala
z skalnego zrębu: tak wieki się toczą
z hukiem i grzmotem i giną w Bezdeni — —
a ponad ziemią niebo lśni przezroczo
i słońce wiecznie jasno się płomieni...

Słowa, oh, słowa! .. Słowa rozwiązania
zagadki bytu, cierpień tajemnicy!
Pociechy w chwili szału i konania!...
Chryste! Na górę wchodzisz mi olbrzymią!
Pod nią się morza kotłują i dymią,
wąż ją opasał światła błyskawicy...
Chryste! Dlaczego masz tę twarz straszliwą?
włosy, jak z miedzi? oczy jak ze grzmotów?
Dlaczego ręką wstrząsasz, jak lew grzywą?
Dlaczego usta Twe pełne milczenia
gorszego, niźli pożarnych łoskotów?
Dlaczego milczysz?! Na górze z płomienia
dlaczego milczysz?!.. Chryste! Chryste! Chryste!
Przez męki świata i bole wieczyste,
przemów!... Posągu olbrzymi na stropie!
Straszna Światłości w błyskawic potopie!
Straszna Białości na nieba błękitach!
Straszliwa Głuszo wśród jęków i zgrzytów!
Straszliwa Góro na chmurach i szczytach!
Straszna Kolumno wśród wieków i bytów!...
Chryste! Patrz! Niezmiar, ogrom Twej Miłości
jest czemś nadludzkiem tak i niepojętem,
że co być miało Żywotem ludzkości,
staje się trwogą, otchłanią i wstrętem...
Nie mogąc zdążyć za Tobą, upada!
Z pod nieba w piekieł upada płomienie,
a Ty jej nikniesz i odchodzisz z oczu,

i gdzieś w błękitnem, dalekiem przezroczu
postać się Twoja ukazuje blada
I niedościgła rośnie w Przerażenie...
Chryste!...

DE PROFUNDIS...

O morze, morze! czyli jest na tobie
gdzieś wyspa taka, gdziebym mógł być sam,
jak w grobie?
O! niechaj pójdę tam...

Niech nikt nie przyjdzie tam, li anioł ciszy,
niech serce moje, gdzie miota się krew,
uciszy
przez swój milczący śpiew.

O morze, morze! taki anioł ciemny
jest dziś pragnieniem mojem i tęsknotą;
duch, wskróś istocie wszelkiej obcy ziemnej,
słup stalaktytu przed zaklętą grotą...

O przyjdź aniele, milczenia aniele!
w twe nieme oczy wpatrzeć, wpić się chcę...
Zawiele
widziały oczy te...

O przyjdź aniele, milczenia aniele!
Na serce moje połóż rękę swą...
Zawiele
przeczuło serce to...

O przyjdź aniele, aniele milczenia!
Tyś Bogiem moim, tyś wszystkiem mej duszy!
Przyjdź, wieczystego dawco ukojenia,
śniegu, co cicho w noc na pola prószy...

Nic nie chcę pragnąć! nic żądać!... O morze!
Ruń falą ku mnie, precz unieś mnie ztąd
w bezdroże,
przez najszaleńszy prąd!

A może znajdę wyspę, którą marzę,
gdzie tylko cisza wiekuista trwa,
w bezmiarze,
tylko ruch fali drga...

Gdy mi twą rękę na sercu położysz,
duchu milczenia z skrzydłami ciemnemi:
wzdrygniesz się w sobie cały i zatrwożysz,
bo oto idę ku tobie tam — z ziemi...

Gdy krwią mi serce wre, gdy nic nie mogę,
choćbym za chwilę czynu życie dał:
pożogę
zgaś pragnień, stłum ich szał...

Lepiej już iście, jak meteor, minąć,
gdzieś na przepastny morski zabiec szlak
i zginąć,
niż być bezsilnym tak!...

ŻYCIE.

Wszedłem — — świat mi się zdał jak jeden cud,
czarowna wizya, w ekstazie zrodzona...
Od gór do lasów, od nieba do wód

biegła ma dusza zachwytem szalona...
Jakbym ku sobie wszechświat garnąć chciał,
młodem ku niemu wyciągnął ramiona...

Z lasów i łanów, z wód, z wysokich skał,
z niebiosów, zewsząd na moje zachwyty
bóg szczęścia uśmiech mi w odpowiedź słał.

Biec chciałem, cudem i czarem niesyty,
dalej i dalej!... Wtem owiał mię chłód
i w przerażeniu stanąłem, jak wryty.

Krew mi się wszystka ścięła w żyłach w lód:
straszna przedemną stała upiorzyca,
z piekielnych kędyś wyzionięta wrót.

Trąd jej okrywał trupio-żółte lica,
a oczy miała żarłoczne, jak sęp,
którego nigdy i nic nie zasyca.

W zmierzwionych włosach gadów wił się kłęb,
ohydna, straszna weszła mi na drogę,
odziana w łachman gnijący i strzęp.

Śmiertelną czując odrazę i trwogę
chciałem uciekać, ale woli wbrew
czułem, że nóg mych poruszyć nie mogę.

Rozpacz mię wówczas porwała i gniew,
chciałem poczwarę usunąć przebojem
z drogi mej, w głowie huczała mi krew.

Chciałem biec dalej za tem szczęściem mojem,
którem mi świata uśmiechał się bóg,
za pięknem, światłem, weselem, pokojem.

Lecz próżno! Ruszyć nie mogłem mych nóg,
a wiedźma ku mnie zbliżała się ona,
pełnemu wstrętu i śmiertelnych trwóg.

I zrozumiałem, że próżna obrona,
że nie potrafię ujść tych strasznych rąk,
że mnie przyciśnie poczwara do łona

i wśród piekielnych obrzydzeń i mąk
zapładniać będę musiał tę ohydną
i w jej uściskach pędzić dni mych ciąg.

A ona, dłonią bezczelnie bezwstydną
jęła obnażać swój okropny kształt
i w swej nagości stanęła mi widną.

Każdy łachmanów odsłoniła fałd,
a oczy moje z pod powiek skostnienia
patrzyły, woli mej zadając gwałt.

I pochwyciła mnie w swe uściśnienia — —
o dziwna, straszna ironio! Jam czuł
żądzę wśród wstrętu, rozkosz wśród cierpienia.

Jej wzrok podniecał, choć jej oddech truł —
i pot mi czoło zlewał już obficie
a jeszczem nie rwał węzła, co nas skuł.

Ktoś jest? — spytałem. Odrzekła mi: »Życie«.

VOGUE LA GALÈRE!

Vogue la galère! Niech płynie łódź
przez jakie chce odmęty — —
gnijące wody pruć, to pruć!
Vogue la galère! Do dyabła wiosła!
Na bagna z wiosłem fala zniosła,
więc precz!... I ster pęknięty?!
Vogue la galère! Niech płynie łódź!

Vogue la galère! Niech płynie łódź!
Niech tonie — mała szkoda...
Cóż, choć kto woła z brzegu: wróć!...
Vogue la galère! Ha, żagiel pęka —
widocznie lina była cieńka,
lub zbyt napięta... Huczy woda...
Vogue la galère! Niech płynie łódź!

Vogue la galère! Niech płynie łódź!
Niech grzęźnie po szczyt rei — —
tonący błotem będzie pluć!

Vogue la galère!... A tam, w oddali,
sto łodzi mknie po modrej fali,
sto świeci im nadziei...
Vogue la galère... Niech płynie łódź,..

Vogue la galère! Niech płynie łódź!
Kto winien? Czyż są winni!
Jeżeli chcesz, kamieniem rzuć —
Vogue la galère!... Lecz wyżej świeci
flaga, niż kamień twój doleci...
A zresztą cóż? Wszak będą inni...
Vogue la galère! Niech płynie łódź!

NAD POLEM PUSTEM...

Nad polem pustem, szerokiem, głuchem,
ćma ptaków czarną zawisa chmurą.
Krążą, jak liście gnane podmuchem
wietrznego wiru, kracząc ponuro.
Pośród czarnego ptaków odmętu,
w skłębionych skrzydeł ruchomej fali,
lśni jeszcze słońce. Tak od okrętu,
co się w czas burzy morskiej zapali,
ponad bałwanów chmurę spiętrzoną
błyskają ognie krwawe czerwono.
Zniknęło słońce... Czyż tej powodzi
ptaków nad polem pustynnem owem
nigdy już, nigdy nie będzie końca?
Wiecznież to pole będzie jałowem
i nic się na niem nigdy nie zrodzi
oprócz bezdennych tęsknot do słońca?...

KONIEC WIEKU.

Przekleństwo?... Tylko dziki, kiedy się skaleczy,
złorzeczy swemu bogu, skrytemu w przestworze.
Ironia?... Lecz największe z szyderstw czyż się
[może
równać z ironią biegu najzwyklejszych rzeczy?

Wzgarda... Lecz tylko głupiec gardzi tym cięża-
którego wziąć na słabe nie zdoła ramiona. [rem,
Rozpacz?... Więc za przykładem trzeba iść skor-
[piona,
co się zabija, kiedy otoczą go żarem?

Walka?... Ale czyż mrówka rzucona na szyny
może walczyć z pociągiem, nadchodzącym w pę-
[dzie,
Rezygnacya?... Czyż przez to mniej się cierpieć
[będzie,
gdy się z poddaniem schyli pod nóż gilotyny?

Byt przyszły?... Gwiazd tajniki któż z ludzi
[ogląda,
kto zliczy zgasłe słońca i kres światu zgadnie?
Użycie?... Ależ w duszy jest zawsze coś na dnie,
co wśród użycia pragnie, wśród rozkoszy żąda.

Cóż więc jest? Co zostało nam, co wszystko
[wiemy,
dla których żadna z dawnych wiar już nie wy-
[starcza?
Jakaż jest przeciw włóczni złego twoja tarcza
człowiecze z końca wieku?... Głowę zwiesił niemy.

ZAPADŁE JEZIORA.

W głębi, w dolinie, pośród skał zacienia,
gdzie nigdy słońca nie dochodzi błysk,
wśród zwiędłej trawy pordzewiałych rżysk
ciemnych się jezior woda ubezdenia.

Nigdy tu skrzydeł wiatr nie rozprzestrzenia,
ni na brzeg fali wysrebrza się bryzg,
lub burza miota wirem wodnych wrzysk --
tu kraj zapadłych jezior i milczenia.

Ciemne, spokojne, bez wypływu rzek,
wśród traw powiędłych leżą wiecznie śpiące;
dzień za dniem mija i za wiekiem wiek.

Na niebo patrzą nigdy nie świecące,
na niestajały nigdy w żlebach śnieg —
i o tym świecie marzą, gdzie jest słońce.

ZACZAROWANY LAS.

Zaczarowany las — pomiędzy drzewa
elf biały mignie i w cień się rozwiewa;
oczy potworów z zielonej głębiny
jak karbunkuły świecą i rubiny.
A na wierzchołku rozbujałych drzew
zrywa się, milknie dziwny, ostry śpiew.

W gąszczu pełzają olbrzymie połozy
i szklistą skórą pod słońce migocą;
błękitne węże na srebrzyste brzozy
skrętem się winą i wzrokiem się złocą,
a na wierzchołku rozbujałych drzew
zrywa się, milknie dziwny, ostry śpiew.

Rozpar słoneczny wydobywa z kwiatów
ogień śmiertelnie silnych aromatów,
z zabójczą mocą odurzają głowę
potworne kwiaty sine i pąsowe.

A na wierzchołku rozbujałych drzew
zrywa się, milknie dziwny, ostry śpiew.

Tam dusza moja przed swych oczu męką
szalona smutkiem z wiru życia bieży
i konwulsyjnie wzrok zakrywszy ręką
w gorączce, w wizyach, w półobłędzie leży,
aż z rozbujałych obudzi ją drzew
ten dziwny, ostry, jak krzyk orli, śpiew..

HYMN DO NIRWANY.

Z otchłani klęsk i cierpień podnoszę głos do
[ciebie
Nirwano!
Przyjdź twe królestwo jako na ziemi, tak
[i w niebie
Nirwano!
Złemu mnie z szponów wyrwij, bom jest utra-
[pion srodze
Nirwano!
I niech już więcej w jarzmie krwawiącem kark
[nie chodzę
Nirwano!
Oto mi ludzka podłość kałem w źrenice bryzga
Nirwano!
Oto się w złości ludzkiej błocie ma stopa ślizga
Nirwano!
Oto mię wstręt przepełnił, ohyda mię zadusza
Nirwano!

I w bólach konwulsyjnych tarza się moja dusza
Nirwano!
O przyjdź i dłonie twoje połóż na me źrenice,
Nirwano!
Twym unicestwiającym oddechem pierś niech sycę
Nirwano!
żem żył, niech nie pamiętam, ani wiem, że żyć
[muszę
Nirwano!
Od myśli i pamięci oderwij moją duszę
Nirwano!
Od oczu mych odegnaj złe i nikczemne twarze
Nirwano!
Człowiecze zburz przedemną bożyszcza i ołtarze
Nirwano!
Niech żywot mię silniejszych, słabszych śmierć
[nie uciska
Nirwano!
Niech błędny wzrok rozpaczy przed oczy mi
[nie błyska
Nirwano!
Niech otchłań klęsk i cierpień w łonie się twem
[pogrzebie
Nirwano!
I przyjdź królestwo twoje na ziemi, jak i w niebie
Nirwano!

DUSZA W POWROCIE.

Szukam napróżno — odnaleźć nie mogę...
Nie mogę znaleźć dawnej duszy mojej...
Gdzież jest? Gdzie znikła?... Ach! przedemną stoi
jakiś cień — jodła widna przez szeżogę.

Jakiś cień, mara, blada, znikła zjawa —
smutno się, trwożnie, bojaźliwie do mnie
z za mgły uśmiecha — patrzę nieprzytomnie,
strach mi wśród piersi zrywa się i wstawa!

To widmo — to jest — moja dusza?! Moja
dusza?! To widmo?! Ten cień?! To konanie?!
To dusza moja?!... Naokół otchłanie
i mgły... Tak jest: to ona. Mówi: to ja.

To ja... Tak jest: to ty... Ty... Gdzieżeś była?
Milczy. — Zkąd wracasz? Powiedz... Schyla głowę.
Mów... Głowa na pierś spada... Przez niezdrowe
szłaś kraje?... Drży, jak haszyszem opiła.

Wróciłaś?... Szepce: tak — i patrzy w oczy
jak pies, co zwlókł się i wraca ku nodze.
Ty jesteś dusza moja... po złej drodze
szłaś — nawet krew ci, spojrzyj, stopy broczy.

Nie czujesz?... Przeczy głową. Zziębła, blada
nie czuje bólu, krwi na stopach. — Długo
błądziłaś kędyś — patrz: czerwoną strugą
za tobą bieży krew, co z nóg twych pada.

Długo nie było cię. Pójdź, chcę ci rany
obetrzeć z krwi... lecz gdzie są skrzydła two-
[je?...
Gdzie skrzydła?! Powiedz! Mów! Jak orzeł
[dwoje
skrzydeł szerokich miałaś, jak orkany!

Mów! Mów! Na Boga! Gdzie twe skrzydła?
[Duszo!
Dwa miałaś skrzydła, wielkie, silne, duże —
gdzie są?!... Noc legła na całej naturze,
mgły kłębem spadły w dół i światło głuszą.

Gdzie skrzydła?... Pustka... Zapomniałem ciebie,
nagle uczułem w sobie, że cię niema;
zacząłem szukać — przyszłaś, jesteś... Niema
cisza na ziemi zwisła i na niebie.

Nagle cię znaleźć i mieć zapragnąłem:
jesteś — ta sama, co tam, na Jeziorze,
chłonęłaś w siebie świat... Przyszłaś w pokorze
z bezwładną rękę i spuszczonem czołem...

W źrenicach suchość masz, w skroniach pożogę
twe skrzydła strzęp, proch duma twa i siła,
na stopach twoich krew... Wiem już, gdzieś
[była —
anioł cię śmierci wwiódł na swoją drogę.

CZĘŚĆ DRUGA

NA KRÓLEWSKIEM JEZIORZE.

Po Królewskim jeziorze samotny płynąłem,
łódka, pędzona wiosłem, chyżo naprzód bie-
[gła.
Wokół lasów i urwisk pustynia rozległa,
podemną bezdeń wody, granity nad czołem.

Czarna, bezdenna woda wiatrem kołysana,
dziko szemrze i jęczy. Skalne krzesanice
wpadają w nią i toną, rwąc w odmęt źrenice,
które odtrąca twarda, prostopadła ściana.

Dziwna, ponura czarność tej ogromnej wody,
a ponademną, w bezmiar wyniesiona szczytem,
góra śniegu, pochmurnym owiana błękitem,
pochylona, olbrzymia — Bogu z nieba schody.

W wązkim skalnym zakręcie łódź wstrzymuję:
[głusza...
Taka cisza, jak gdyby nie było istnienia...

las, góry, woda, śniegi i bezbrzeż milczenia...
Czy to jezioro? Czy to moja własna dusza?

Jestemż? Czylim w otchłanie wpłynął własnej
[duszy?!
Jakie góry olbrzymie... Jaki las samotny...
Jaka gra chmur i słońca w wyżynie zawrotnej...
A wszystko w jakiejż wielkiej pogrążone głuszy...

Dusza ludzka zjawiona w całej pełni swojej!
Nieznana mi, tajemna — — patrzę się w po-
[dziwie...
Jaka ogromna! Jaka bezdenna straszliwie!
Jak w głąb się zlewa... W niebie jak wysoko stoi!

Jestże to dusza moja? ludzka? w ludzkiem
[ciele?
Tyle załomów, kotlin, szczytów ? przestrzeń
[taka?!
Jestże to dusza ludzka, z tą duszą jednaka,
która się mieści w domu, w rynku i w kościele?!

O nie! Oto zjawisko cudowne, olbrzymie!
Potworne swą wielkością, straszliwe swą siłą!
Tysiąc wieków ją z warstew tysiąca tworzyło!
To dusza ludzka? ludzka? Te turnie w chmur
[dymie?

Ha! Ozwijże się głosem godnym swojej mocy
duszo ludzka, ty dumna. ty wielka, ty górna!
Otwarta.. słońcu; cicha... jak popiołów urna;
wielka... jak świat; tajemna... jak las o północy.

Stoję przed tobą, jako przed olbrzymim tumem,
w który lękam się wstąpić — — zginę tam,
[przepadnę...
Mózg mój wstecz się potoczył, zmysły me bez-
[władne...
Milcz na Boga! Zabiłabyś słów swoich szumem!

Jeden On z tobą może mówić, słuchać ciebie,
o duszo ludzka w prawdzie i w jawie widziana...
Za wielkaś! Otchłań w tobie, otchłań nieprzej-
[rzana,
mieszcząca wszystko, co jest na ziemi i w niebie.

I.

Milczenie, szafirowe niebiosów Milczenie,
rozrzucone na lotnych mgieł błękitny zwiew,
rozpłynione falami w szumie górskich drzew,
roztopione złociście na halne zielenie:

Milczenie! twoje ciche i ogromne tchnienie
zawisa ponad duszą, jak palmowy krzew
nad skronią podróżnego... Cichy słodki wiew
opływa w krąg i w duszę sączy ukojenie.

Dusza ludzka goryczy pełna, pełna krwi,
ten ptak od skrzydeł swoich odstrzelony gromem,
dla której śmierć jest trwogą, z której życie drwi:

pod twoim szafirowym, Milczenie, ogromem,
jest jak dziecko z rodzinnych odepchnięte drzwi,
które tęskni za swoim utraconym domem.

II.

Bo mi się tak wydaje, jakbym tam w przedczasie
wisiał kędyś w przestrzeni nad wierchami gór
i bujał się, chwytając mgieł złocisty sznur,
albo się gdzieś w różowym krył zachodu pasie.

I za jakąż to karę wziąłem ciało na się?
Jakiż to gwałt piekielny w dół mnie strącił
[z chmur?
Dusza-ż moja nie była jedną z dzikich cór
przestrzeni, szalejących w światła świetnej krasie?

Nie byłaż mi mgła siostrą i wichr jako brat?
Nie bawiłżem się nigdy z szumem wielkich
[szczytów,
aniżem za błyskawic chwytał skrzący bat?

A dziś, siedząc u progu tatrzańskich granitów,
tych nigdy niepowrotnych już żałuję strat,
tych wiecznie przeminionych przedżywota mytów.

III.

I czyż nigdy nie wrócę? Czyż to co się zowie
życiem, ma być mi wszystkiem? Czyliżbym już miał
nigdy — przeżywszy chory, nędzny żywot ciał —
nie powstać na pierwotne, wieczne ducha zdro-
[wie?

Czyż duch mój nie jest w przemian wieczystych
[okowie?
Gdy się ciało rozłoży na pierwiastków miał,
czyż niegodne, by duch mój w nowym kształcie
jasny, jak rozpętani błędni aniołowie? [wstał

Czyż nigdy nie powrócę bujać tak, jak wprzód
na niezmierzonej fali sennego Milczenia,
jak jeleń ze zwierzyńca wypuszczony wrót?

Na nowe, nowe życie! Na szerokie tchnienia!
Na wyżynę, zkąd świat się wydaje jak cud!
Na bezkres!... Czyż śmierć nie jest progiem od-
[rodzenia?

IV.

O Boże! Wszakże indziej kędyś jest stworzony
na niedostępnych głębiach jakiś inny świat,
świat prawdy, dobra, ciszy, bez win i bez spłat,
bez krzywd i bez pamięci o krzywdzie zrządzonej.

O Boże! Wszakże jakieś są w przestrzeni strony,
gdzie Widzenie przed duszą nie stoi jak kat
z rozpaloną obcęgą; gdzie za czynem w ślad
nie bieży myśl, podobna do siostry strapionej...

O Boże! Wszakże kędyś nie cierpi się wciąż
nad traconą z dniem każdym duszy anielskością,
nie syczy tam ironii własnej straszny wąż...

O Boże! Wszakże kędyś żyje się światłością...
O duszo! Na mistyczne twoje Łąki dąż
i olbrzymią Milczenia owij się cichością...

V.

Sferyczne duchy lotu! Na moje przymknione
powieki kładźcie ręce, sączcie balsam z rąk...
Pójdźmy na złotą zieleń balsamicznych Łąk,
na Łąk pachnących idźmy zieloną rozponę...

Precz ciała ludzkie, chore, nędzą pochylone!
Precz dusze ludzkie, krwawych niewolnice mąk!
Precz poznanie! Precz wiedza! Precz szatański
[ciąg
myśli, co w bezdeń z urwisk patrzą się szalone!

Precz myśli, które patrzą z urwisk w bezdeń zła
własnej duszy i cudzych dusz aż do zawrotu!
Precz ta myśl, co nad życiem zawodzi i łka!

Precz bólu, wstręcie, żalu! Śrubo kołowrotu,
na którym dusza ludzka krwawiąca się drga — —
na zieleń Łąk mię wiedźcie, jasne duchy lotu...

O WICHRZE, WICHRZE!...

O wichrze, wichrze! Wyrwij moją duszę
z ciała i nieś ją w powietrzne głębiny!
Jak ptak tatrzański, zwleczony w niziny,
ja na nizinach szarpię się i duszę.

Kędy chcesz, nieś ją szalonym podmuchem,
rzuć gdzieś w pustkowiu dalekiem, dalekiem,
nie chcę pamiętać, że jestem człowiekiem
a nie swobodnym, wolnym, skrzydlnym duchem!

NIESKOŃCZONOŚĆ.

Więcej, niźli natury pierwotnej piękności,
więcej, niżeli uśmiech kobiety kochanej,
więcej, niż światło natchnień, marzeń oceany:
ty mnie nęcisz ku sobie, o nieskończoności.

Wtapiam się w ciebie myślą, czuję cię w senności
sfer przestrzennych, w dróg mlecznych zawiei
[świetlanej,
czuję cię w mojem własnem pragnieniu nirwany,
i wciąż odradzających się żądzach ludzkości.

Zda mi się, żem spokojnym, jesiennym wieczorem
stanął kędyś nad cichem, niezmiernem jeziorem,
kiedy mgły na las schodzą i na gór głąb ciemną:

patrzę — blady księżyca krąg błyszczy podemną,
a otchłań z taką dziwną potęgą mię nęci,
że pochylam się zwolna, tracąc świat z pamięci.

* * *

Nieraz w mych Tatr rodzinnych przepastne
[głębiny
nurzałem się, jak delfin w oceanu tonie,
szedłem ponad urwiska, z których trupie dłonie
śmierć wyciąga, a kędy strach zepchnąć chce siny.

Szedłem, aby na puste spoglądać doliny,
na złomy skał, ginące w obłoków oponie,
śnieg, co tam w zimnym blasku słońca martwo
[płonie,
głuche stawy i senne, dalekie równiny.

Jak lunatyk, po dachu krawędzi, bez trwogi,
jakby mię prowadziła dłoń magnetyzera,
szedłem przez najurwistsze, najszaleńsze drogi:

patrzeć na martwość, co się w górach rozpo-
[ściera — —
w owej pustej, ponurej, olbrzymiej martwości
szedłem cię głębiej, silniej czuć, nieskończoności.

ALBATROS.

Cisza na oceanie, nie drgnie jedna fala,
ciemno-modra płaszczyzna nieruchomo leży;
na fali, zkąd już nie znać sinych wstęg wybrzeży,
siadł albatros od lądów i ludnych wysp zdala.

Marzy i żaden gwar mu ciszy nie zamąca,
marzy — — ziemia daleko i daleko życie...
Utonąwszy oczyma w świetlistym błękicie,
na ciemno-modrej wodzie bieli się wśród słońca.

Zadumane, niezmierne dokoła milczenie,
w bezbrzeż sfer zapatrzony spokój, sen przed-
[wieczny,
zda się, w kryształ promienny ściął się krąg
[słoneczny
i wielkie skrysztaliło się nieba sklepienie.

Ptak śni — i zdaje mu się, że Bóg ziemi jeszcze
nie stworzył, tylko woda nieruchoma, senna,

leży pod sennem niebem, bezkreśna, bezdenna...
Śni — — sen mu przerwą wichry, pioruny i de-
[szcze.

Wówczas na wielkich skrzydłach z szumem się
[podniesie,
wrzący ocean muśnie po spienionej grzywie,
rzuci się w pierś orkanom huczącym straszliwie
i ponad burzą w cichym zawiśnie bezkresie.

A gdy burza ucichnie, gdzieś na skale dzikiej
usiądzie suszyć pióra od deszczu wilgotne,
i patrząc w słońce, jak on, dumne i samotne,
słuchać w skałę bijących fal sennej muzyki.

RZEKA MISTYCZNA.

Coraz dalej płyniesz rzeko, rzeko,
brzeg twój coraz pustszy i urwistszy,
a twe wody płyną coraz bystrzej
i pian męty ciemne z sobą wleką
ku otchłani, gdzie wszystko przepada,
gdzie ostoi się tylko Zagłada.

Ah, te źródła jasne i przejrzyste
pod promiennym, pogodnym błękitem;
te narcyzy z kwieciem srebrnolitem
nad źródłami i lilie śnieżyste
i to złote słońce, co upadło
w pełne kwiatów szklanych wód zwierciadło...

Ah, nie wrócisz ty już rzeko, rzeko...
Coraz dalej płyniesz, coraz dalej...
Źródła twoje zostały w oddali,
brzeg twój kwietny pozostał daleko...
Między martwe stepy i pustynie,
fala twoja głucho, martwo płynie.

A tam czeka ciebie i pochłonie
tajemnicza i straszliwa przepaść,
kędy wszystko, co jest, musi przepaść;
niezgłębione, nieprzejrzane tonie,
gdzie niezwrotnej podróżnicy drogi,
giną światy całe i ich bogi.

ŁĄKA MISTYCZNA.

O cicha, jasna łąko, o zielona
łąko daleka:
ku tobie dusza smutna i zmęczona
z bagien i piasków posępnych ucieka,
wśród jasnej, cichej zieloności twojej
szukać spoczynku, szukać niepamięci...
O jakaż czystość twych krysztalnych zdroi,
o jakże nęci
twoja pogodna złocistość słoneczna;
o jakże koi
twa cisza wieczna...
O łąko jasna,
jako zagroda wydajesz się własna
tym, co na całej wszechziemskiej przestrzeni
głowy nie mieli gdzie skłonić znużeni.
Letejską zdasz się zbawienną krynicą
dla tych, co w duszy mając żar i płomień,
żądz swych szukali żywych uwidomień,
choć prędzej cienie swoich ciał pochwycą...

Tam — niema więcej czasu i przestrzeni,
tam światłoskrzydłe przejrzyste i śpiące,
w łodziach, ze ściętych w kryształy promieni,
godziny wiszą w powietrza ogromie,
nie pnąc się więcej za jasnością w słońce,
ani ku nocy chyląc się krawędziom —
zaczarowanym podobne łabędziom,
w promiennych łodziach wiszą nieruchomie...
Tam między polne
zioła i trawy i gaje pachnące,
i lilie, srebrnym świecące się puchem,
czyste i białe chodzą dusze wolne,
czujące rozkosz najwyższą: być duchem.

CZĘŚĆ TRZECIA

SŁUCHACZE.

W ciemności nieba bezgwieździstej,
gdzie wzrok, jak dźwięk bez echa tonie,
w otęczy ołowianej, mglistej,
posępny krąg miesiąca płonie.

Przez pola puste, szare, głuche,
płynie gdzieś wielka, cicha rzeka;
ponad nią leżą pnie wierzb suche,
księżyc białością je powleka.

Słuchając szumu rzeki, błądzę — —
szumią w dal wielkie fale senne
i połyskują, jak mosiądze,
wlekąc księżyca łzy promienne.

Rozmarza mię fal monotonność
i mglistość w ciemni księżycowa
i ziół nadwodnych nocna wonność
i z ust mych wolno płyną słowa.

A gdzieś po za mgłą wstają szarą
cienie, wolno się ku mnie wleką
i zasiadają całą chmarą
na pniach wierzbowych po nad rzeką.

Wsłuchują się w mą pieśń, zadumy
pełną, w otchłanie gdzieś lecącą,
pieśń, której słowa są jak szumy
wód, co się w głuchych grotach mącą.

Wsłuchują się w mą pieśń, bezdennej
tęsknoty pełną, pieśń, co płynie
w mistycznych uczuć bezimienny
świat i w głębinach ciemnych ginie.

Widzę w księżyca mgłych posnowach
łzy, co spływają im na lice;
te cienie czują w bladych słowach
krwawą mej duszy tajemnicę.

Te cienie widzą w duszy głębi
to nieujęte i bezkresne,
co konwulsyjnie w niej się kłębi,
wbrew woli czute i bolesne.

Najmilej mi wśród tych słuchaczów
widzących każde serca drgnienie — —
słucham ich cichych, smutnych płaczów
i pieśń ma łamie się w westchnienie.

REFLEKSYA.

Tam, gdy pomyślę, że się spotkać mamy
wstąpiwszy w wiecznej Tajemnicy bramy,
my, cośmy w krótkiej wspólnej życia chwili
kochali siebie, lub nienawidzili:
niczem mi zda się, prochem, wobec niemej
martwoty śmierci, wszystko, co czujemy.

Tam, jeśli spotkam pomiędzy śmętnemi
marami ludzi, których tu na ziemi
nienawidziłem niegdyś, lub kochałem:
czyliż ich sobie umarły przypomnę?
Uczucia owe będąż mi przytomne,
które wstrząsały mem żyjącem ciałem?

Tam chyba spokój jest wieczny... Więc gdy mię
ta myśl ogarnie, kiedy z tym orszakiem
widzę złączonych i siebie i ludzi,
wtłoczonych w chmury umarłych olbrzymie
na wieki wieków: wówczas mi się takiem

niczem wydaje treść duszy człowieczej,
która się życiem oślepia i łudzi,
a której wszędzie i zawsze śmierć przeczy.

Z tą myślą wszystko przebaczyć tu mogę,
a razem żądać win mych niepamięci,
bo tam, w posępną śmierci idąc drogę,
cielesnym szałom i nędzom odjęci,
czyż nie będziemy, jak głuchy i niemy
mgieł poczet, co się przez górskie pustynie
przesuwa wolno i gdzieś w bezmiar płynie,
jeśli wogóle Tam jeszcze będziemy?..

MUSZLA.

Niewielka, stara muszla na mym stole leży,
jest to jeden z mych skarbów, choć warta tak
[mało;
nie wiem, z jakiego morza pochodzi wybrzeży,
ni jak dawno jej morze szumieć już przestało.

Odkąd siebie — i muszlę tę pamiętam starą,
i dziś, ilekroć tylko spojrzę na nią razy:
owiane jakąś smętną, głęboką mgłą szarą,
stają mi przed oczyma dawnych lat obrazy.

Ale najlepiej lubię, przymknąwszy powieki
przyłożyć ją do ucha i słuchać jak szumi:
wtenczas całą mą duszą wracam w świat daleki,
w toń wspomnień, które życie zaciera i tłumi.

Przypominają mi się pola i ogrody,
dom pośród ciemnych świerków i różanych
[krzewów,

pastwiska i wikliny, bystre górskie wody,
jasność kamyków na dnie, albo męt wylewów.

Przypominają mi się tajemnicze mroki
wśród szpalerów wieczorem, gdym, pełen obawy,
szedł, słysząc czyjeś szepty, słysząc jakieś kroki,
ciche, lotne, zaledwo tykające trawy.

Przypominają mi się dziwne baśnie, dziwy,
które mi szły z gór ciemnych przez lasy i łany,
i groza, kiedy wichry rozpuściwszy grzywy,
wiozły z nich chmury gradu, lub śniegu tumany.

Przypominają mi się me pierwsze marzenia,
amerykańskie bory i dzicy Indyanie,
bezludne wyspy, pełne palmowego cienia,
lwy w sitowiach i śmieszne małpy na platanie;

Przypominają mi się te białe okręty,
płynące w wyobraźni gdzieś morską bezdenią.
błękitna, straszna cisza, albo burzą wzdęty
ocean, gdy się fale pod obłoki pienią.

Przypominają mi się pierwsze uczuć świty,
pierwsze miłości moje z bajek Andersena;
pierwszy ten nieświadomy pociąg do kobiéty,
która nęci, jak w falach niewidna syrena.

Pierwszą moją miłością była świtezianka
zakochana w młodzieńcu pięknym z okolicy,
co, by zawsze być blizko swojego kochanka,
stratą głosu kształt ziemski kupiła kobiécy.

I ta mała dziewczynka wśród śniegów i lodu,
na stepie renifery karmiąca rogate,
co miała wał śniegowy za mur do ogrodu,
w nim lodowe zarośla i lodową chatę.

Inna, kędyś łabędzi powieziona parą,
nie wzięła nic ze sobą, tylko piosnkę rzewną:
spotkała w lesie smoka, czarownicę starą,
i wróżka ją cudowna zrobiła królewną.

Tym wszystkim wyobraźni kochankom dziecinnej
dawałem duże, jasno-szafirowe oczy,
białe ciało o linii falistej i płynnej,
blond włosy i głos pełen melodyi uroczej.

Jeszcze słyszę, jak mówią, jak dźwięczą nademną
kryształem tego głosu co o srebro trąca —
spotkałem głos ten później — i dziś nocą ciemną
zda mi się, że na szybie zabrzmiał w łzach mie-
[siąca.

Zdaje mi się, że głos ten sam do mnie przylata
powiedzieć mi te słowa, które słyszeć miałem —

zabrzmiał i jak jaskółka odbiega skrzydlata,
i martwy blask po oknie pełznie oniemiałem...

Zdawało mi się niegdyś — i któż z nas tak nie
[śni? —
zdawało mi się niegdyś, żem szedł w toń różaną;
człowiek się ze snu budzi, tem lepiej im wcześniej
i taki sam zostaje — z jedną tylko zmianą.

Dusza jego na pozór zostanie jednaka,
jak kwiat, stuliwszy liście, znowu je roztula,
tylko będzie jak skrzydło postrzelone ptaka:
wygoiło się wprawdzie, ale tkwi w niem kula.

Więc niema już ptak taki odwagi do lotu,
a jeśli to był żóraw, przeraża go morze;
lęka się ciemnych głębi głuchego łoskotu
i długiej nad niezmierne wędrówki bezdroże...

Zdawało mi się niegdyś... Dziś, kiedy do ucha
przytknę te starą muszlę: gdzieś w dalekie kraje
wiedzie mnie, kędy pustka rozciąga się głucha
i gdzie nigdy od wschodu słońce nie powstaje.

Błąkam się kędyś w lasach i puszczach dziewi-
[czych,
w jakichś górach przepastnych, w jakichś pieczar
[sklepach,

po jakichś zadumanych wodach tajemniczych,
niezmierzonych jeziorach, bezgranicznych stepach.

Jakie tam dziwne świecą na niebie księżyce — —
po kilka naraz, błyszczą nad ziemią tak nizko,
odbijają się w wodzie i w srebrne źrenice
obejmują milczących pustek uroczysko.

Rosną tam dziwne drzewa, jodły tak olbrzymie,
że sięgają gór wierzchów, a niebo nad niemi
w wilgotnych, szarych mgławic falującym dymie,
jakby martwe zamarłej przygląda się ziemi.

Tam nic niema... pustynia, stepy, góry, morze
i duszy mojej smętna, zadumana mara;
patrzę wkoło i nieraz sam w sobie się trwożę —
gdzie jestem?!... To mi szepce moja muszla stara.

Jest-li to ten świat dawny, który przed milionem
wieków ona pamięta? Są to urojenia
obłąkanej fantazyi, co w oku szalonem
ma jakieś dziwne, nigdy niebyłe widzenia?...

Tam jednak w tej pustyni, tam jest mi najlepiej,
tam dusza moja siada na omglonym głazie
i gdy się cała w sobie skupi i zasklepi:
tonie w ogromnych milczeń i głębin ekstazie.

Lubię tonąć w otchłaniach bezgranicznej głuszy,
w abstrakcyjnem pojęciu żywego bezbytu,
gdzie wszystko się jednoczy i jest w jednej duszy,
gdzie w duszy ma się wieczność, ziemię, sklep
[błękitu.

Lubię patrzeć oczyma wewnątrz zwróconemi
w świat, co się niezmierzony sam w człowieku
[stwarza,
tak wielki, tak odległy, tak różny od ziemi,
świat bez wrzawy, bez zgiełku, bez krwi i cmen-
[tarza.

Ale najlepiej lubię, gdy szumiąca głucho
stara muszla mię wiedzie w wspomnień kraj
[daleki;
szumi mi, jak me serce — — gdy doń przytknę
[ucho,
słyszę, jak smutno szepce: na wieki, na wieki..

Z BRZEGU.

Do wody mętnej, wody szarej
upadły z brzegu moje oczy —
patrzę, jak płynie po pustkowiu,
jak się powoli, głucho toczy
jakby płynnego męt ołowiu...

W szuwary płynie i moczary,
w bór ciemny, w oddal, w otchłań świata...

Do wody mętnej, wody szarej,
co się zaledwo falą rusza:
upadła z brzegu moja dusza...

I zatopiła się w jej toni
szarej i mętnej, choć skrzydlata,
choć jej po kwietnej latać błoni
i srebrzyć skrzydła w jasnej rosie
i z jasnym wichrem iść w zawody — —

bo oczy moje przykuł do się
rozdzierający smutek wody..

CZĘŚĆ CZWARTA

SONETY

O SONECIE.

Lubię sonetu trudną, misterną budowę:
zda mi się, że mi kawał marmuru odkuto,
w którym swobodnie rzeźbić może moje dłuto
w rozmiarach wiecznie jednych kształty coraz
[nowe.

Lubię te dźwięki pełne, szerokie, bronzowe,
brzmiące wiecznie tą samą melodyjną nutą,
a w nieskończoną różność motywów rozsnutą,
jak mgły na jednem niebie w przeróżną posnowę.

Lubię ten mały kościół, w którym jednak może
olbrzymi Bóg się zmieścić, jak w potężnym tumie;
lubię to górne, wązkie, naskalne wydroże,

zkąd runie, kto stóp pewnie położyć nie umie;
lubię tę gwiazdę małą, co świeci, jak zorze,
dźwięk dzwonu, co nie głuchnie w huraganów
[szumie.

ZBRODNIE.

Na rozhukanych koniach, wśród zamieci,
w wirze kurzawy kłębów, chrzęstu, łomu,
wśród huraganów ryku, grzmotów, gromu:
orszak fatalnych amazonek leci

Lecą przez łany i stepy stuleci,
przez pieśni zwycięztw, przez jęki pogromu,
pośród wrzaw pychy, pośród milczeń sromu,
przez wały złomisk, przez ogrody kwieci...

Lecą w purpurach i szmatach u ramion,
trzymając w rękach lilie i pochodnie,
krwią, łzami, błotem szlak ich dróg poplamion —

jedne urocze, jak hurysy wschodnie,
inne, jak furye, pełne wstrętnych znamion:
na rozhukanych koniach lecą Zbrodnie.

WIDZIADŁA OKRĘTÓW.

Noc. W ciemnem niebie księżyc wielki, złoty.
Głuche powietrznej bezdeni pomrocze.
Milczące, ciemne morskich wód roztocze.
Niezmierna cisza pustki i martwoty.

Niezmierny spokój — — wtem z głębin ciemnoty
blask jakiś blady w oddali migocze,
światło posępne, martwe, nieprzezrocze
błękitniejącej fosforu pozłoty.

Zbliża się, płynie — — dziw! smugami pnie się
wzdłuż lin i masztów, obrzeża pokłady
cieniom podobnej okrętów gromady.

Płyną powoli — i, jak mgła w bezkresie,
giną gdzieś w pustce milczących odmętów
widziadła dawno przepadłych okrętów.

WIZYA LIPCOWA.

Błękitnych jezior oddalone fale,
na falach słońce łagodne i senne,
zielone gaje, brzozy srebrnopienne,
bladych róż wieńce i maków korale

Po łące, w szklannym powietrza krysztale,
powiewne zda się, od słońca promienne,
ludzkim podobne kształtom, lecz odmienne:
nagie postacie błądzą półomdlale.

Niezmierny spokój — — nad jeziora głębie
błękitne, ciche, srebrzy się pierś biała
pod jasne słońce lecącej rybitwy;

nad gajem krążą złociste gołębie,
a owe kształty pół z światła, pół z ciała,
zdają się tonąć w zamyśleń modlitwy.

WIOSNA.

Niegdyś, kiedy się wiosna zalśniła w przezroczu,
marzyły mi się bóstwa żywiołów ocknięte,
lasów bogi szumiące i przejasne, święte
nimfy, rodzące kwiaty spojrzeniem swych oczu.

Zdało mi się, że stojąc kędyś na uboczu,
jak malarz z poza wiklin w wodzie rozpierzchnięte
podpatruje dziewczyny, ich nagą ponętę,
błękit ciała wśród fali i rosę w warkoczu:

tak ja patrzę na nagie, młode bóstwa wiosny,
utrwalając ich obraz cudowny we wzroku,
ich promienną urodę i pląs ich miłosny.

Już wiosna schodzi jasna z białego obłoku,
lecz moja — przeszła — i dziś na ową Świetlistą
patrząc, widzę ironię bytu wiekuistą....

KKÓLEWNY.

Nad jurajskiemi góry, na błękitnym pasie,
zawisa kłęb obłoków biały, lekki, zwiewny;
z Rodanu wiatr powstaje łabędzi i śpiewny
i, jak ręka kobieca po lśniącym atłasie,

suwa się po błyszczących błoniach łąk i, zda się,
leci w jakiś bajeczny kraj, w którym królewny
we młynach mieląc nucą, a inne w pastewny
poszły ogród — tam stado spokojnie się pasie.

W taki to dzień Nauzyka, królewska dziewczyna,
uśmiechnięta jechała prać płótno nad rzeką,
a potem je do słońca jasnego wysusza.

W taki to dzień czy sobie przedświat przypomina,
czy zaświatów przeczucie zamglone ma dusza —
jest jakiś kraj bajeczny... daleko... daleko...

BAJECZNY KRAJ.

Jest jakiś kraj bajeczny, jakieś ciche święto,
jakieś niedzielne rano słoneczne, świetlane,
kiedy po pustych polach, w złote mgły odziane,
włóczą się Słonecznice z piersią odsłonięta.

Widzisz je? Idą polem twem, pachnącem miętą,
pachnącem młodą trawą, wysmukłe, rumiane —
idą jasne Kwietnice, śpiewnice Źródlane,
idą — przez grabie w trawę rzucone pożętą.

Idą przez młody owies, a za niemi bogi
wierzbowych łóz, złośliwe snują się i psotne,
a kędyś po cmentarzach chodzą Osmętnice,

i na grób młodych dziewcząt siadają samotne —
a mnie się obróciły tam, ku nam, źrenice,
tam, ku naszym zagonom, na nasze rozłogi...

TĘSKNICA.

Widzisz? Idą dziewczyny w to majowe rano
z kościoła, w krasnych chustkach, w koralów
[czerwieni;
idą, włos się im płowy jak len, w słońcu mieni,
i cieszą słońce twarzą jasną i rumianą.

Idą długim szeregiem przez miedzę żytnianą:
Wszystko się w koło złoci, świeci i promieni;
jaskółki zawisają na nieba przestrzeni
i obryzgują piersi białą rzeczną pianą.

Tam, u nas tak w niedzielę, w majowy poranek
idą dziewki z kościoła, z kwiatów wianki plotą,
ze stokrotek barwistych, z polnych macierzanek —

zda się, Bóg w jasnem niebie twarz pokaże
i taka mi się marzy polska okolica [złotą —
i na sercu mi kładzie ciężką dłoń Tęsknica...

SZUKAJĄ BÓSTWA...

Szukają bóstwa: jedni z nich w popiele
nurzając głowy i ścieląc się w kurzu
przy marmurowych posągów podnóżu,
albo w posępnym, milczącym kościele;

inni ku niebu skroń podnosząc śmiele,
w słońc życiodajnych promienistym różu,
w gór, oceanom ochronnem przedmurzu,
w mądrem i dobrem wszechstworzenia dziele;

inni spokojni, cisi, zadumani,
w nieogarnionej szukają go głuszy,
w nieskończoności bezdennej otchłani — —

tak od początku swojego istnienia
wszędzie szukają bóstwa bez wytchnienia,
tylko go w własnej nie szukają duszy.

SYMBOL.

Noc na wód cichem, bezbrzeżnem pustkowiu.
Przez nieruchome ciemnych wód tumany
na fale księżyc prześwieca miedziany
wśród gwiazd, o blasku przygasłym ołowiu.

Wiatr świszcząc głucho, jak w gęstem sitowiu,
pełza po wody powierzchni rozchwianej,
i, zda się, wlecze senne oceany
ku nagich, skalnych wybrzeży wezgłowiu.

Na głębi głuchej, ciemnej i bezkresnej,
w mglistym księżyca blasku się kołysze
krzyż — na nim Chrystus rozpięty, bolesny.

Gdzieś w nieskończoność, w nieprzebraną ciszę,
w niezmierną pustkę płynie przed odmęty
krzyż — na nim Chrystus bolesny, rozpięty...

GRÓB POETY.
(Ignoto mortuo).

Oto jest grób poety... W nieświęconej ziemi
i nie pod krzyżem leży... Na płycie grobowej
niema kwiatów... Nikt żadnej nie powiedział
[mowy,
wszyscy stali dokoła zmieszani i niemi
i odeszli czemprędzej, gdy grób zasypano —
został sam w ziemi z czarną, spiekłą w piersiach
[raną.

Jak cicho teraz leży i w jakim spokoju
ten, co wprzódy nie zaznał nic, prócz trosk i znoju,
prócz upokorzeń, wzgardy dla samego siebie,
gdy musiał żyć o ledwie nie żebranym chlebie,
lub — a myśl sama o tem barwę z twarzy
[zdziera —
starać się zostać błaznem pana, lub bankiera.

Leży cicho... Już więcej nie przyjdzie ta jędza
z szczękami trupiej głowy, co się zowie nędza,

już nie przyjdzie i marzeń mu więcej nie starga...
Leży cicho... Ostatnia wielka, straszna skarga
wyszła mu z ust wraz z jękiem, gdy drżący i blady
pocisnął cyngiel — padł strzał — zbiegły się są-
[siady,
drzwi otwarli, a widząc trupa na podłodze,
cofali się ze wstrętem i żegnali w trwodze.

A tymczasem świetlana, z skrzydłami złotemi,
odchodziła poety dusza precz od ziemi
i podniosła się zwolna i kędyś w przestrzenie
wracała, zkąd przychodzi na ziemię natchnienie..
Wzdymaj się srebrnomodre nieskończone morze!
Wzdymaj się! ty mu zahucz, jak tryumfu dzwony!
Wzdymaj się, ty potęgo ogromna i dzika,
elemencie królewski i nieuskromiony!
Wzdymaj się! gdy raz zerwał z szyi swej obrożę,
jego zwycięzkiej śmierci to godna muzyka!...
Pieśń tryumfu mu zahucz! Oto już nic zgoła
wolnej, skrzydlatej duszy krępować nie zdoła..
W przestworzu od gwiazd skrzących i komet
[ognistem
lecieć będzie z błyskawic trzaskiem i prześwi-
[stem.
Ile wysp złotych w słońcu, pieczar skrytych
[w bluszcze
kwiatów, co wybuchają lawą z ziemi Wschodu,

gdzie jakich skał granity i gdzie jakie puszcze,
wszystkie zorze na toniach spiętrzonych od lodu,
wszystkich wulkanów ognie, wszystko, wszystko
[dla niej!
Wszystko! Niema granicy, kresu i przystani...
Wolna, jak mgła powietrzna na niezmiernem
[niebie,
lecieć będzie i wszystko, co niegdyś kochała,
ciszę, światło i przestrzeń, wszystko mieć dla
[siebie,
wydarta, wyzwolona z wstrętnych więzów ciała!

Oto przepastne wody tumanem się wznoszą
i wirem zakręcone piętrzą się w niebiosy — —
ha! z jakiemż upojeniem i z jaką rozkoszą,
uchwyciwszy się wichrów płomiennych za włosy,
leci topi się w głębiach, jako sokół w chmurze,
opada w dół i znów się porywa do góry,
aż wreszcie, rozszalała, jak gryf złotopióry,
z mórz na morza przelata, ściga grzmiące burze,
i kędyś, gdzie się szafir sennych wód kryształi,
rzuci się odpoczywać na srebrzystej fali...

Wzdymaj się srebrnomodre, nieskończone morze!
Wzdymaj się, pieśń radości mu szum, pieśń
[wesela!
Oto już ognia marzeń nic mu nie spopiela,

nic kaskad jego natchnień tamować nie może...
Oto już owe kształty, owe światła, tony,
co były jego duszą, jego krwią serdeczną,
nie będą, jako obłok wichrem rozpędzony,
pierzchać przed strasznem widmem życiowej nie-
[doli --
oto już wszedł w tę ciszę i spokojność wieczną,
gdzie nic więcej nie łamie, nic więcej nie boli.
Minęły już te noce, gdy przedziwne cienie
nad jego młodą głową splatały się w wieńce
i prosiły, składając jak do modłów ręce:
oto nas twe do ciebie przysłało natchnienie,
chcemy na świat! Patrz, jakie piękne i tęczowe,
daj nam, jak gwiazdom jasnym, nad twem czo-
[łem błysnąć,
daj nam ciało, daj duszę... A on ściskał głowę,
co pękała w gorączce i pytał sam siebie:
co jutro? lecz co jutro? Czy z okna się cisnąć?
Czy żyć dalej o ledwie nie żebranym chlebie?
Dalej walczyć z tym losem, co kościaną ręką
pochwyciwszy za gardło, pierś gniecie kolanem,
i jak upiór się poić zda ofiary męką,
unicestwioną siłą i życiem złamanem?
Dalej za nędznej strawy kęs uginać karku,
zapierać się swej duszy, pragnień, woli, wiary,
myśl swą, krew swą przemieniać w towar na
[jarmarku,

szukać kupca i ducha przykrawać do miary?
Dalej z niebowstępnego cisz i wyżyn lotu
opadać ku ziemskiemu gwarowi i błotu,
gardząc własną słabością i dolą ofiary?

Niech mogiłę samotną w nieświęconej ziemi
tłum prawowierny mija z obawą i wstrętem:
kto się życia rękoma pozbawia własnemi,
tego duch potępiony, imię jest przeklętem.
Mówią, że czasem sokół, zamknięty do klatki
próbuje stargać druty, aż gdy skrzydła skrwawi,
pierś porani i siły wyczerpie ostatki:
oszalały, z rozpaczy głodem się zamarza...
Ludzie spokojni, trzeźwi, rozsądni i prawi,
unikajcie głuchego wyklętych cmentarza.

ZŁOTY PTAK.

Rwij pęta wichrze halny! W chmur kurzu i dymie
rozpostrzej na sklep nieba swe skrzydła olbrzymie!
Rwij pęta wichrze halny! Skrusz ziemi fundament,
wydrzej ją z wiecznej drogi i szalonym rzutem
ciśnij ją w wir żywiołów, w pęd mgławic i zamęt!
choćby z mózgiem strzaskanym i sercem wyprutem,
Rwij pęta wichrze halny! Łam twarde granity,
gruchocz w pył śmigłe lasy, piętrz siklawy w górę,
wzdymaj się! aż pod nieba samego sklep wzbity,
w gryfi szpon chwycisz słońce wielkie i ponure
i wiecznego obrotu druzgocąc mu osie,
pogrążysz je w skłębionych odmętów chaosie!...

Patrz! Jakiś ptak potężny ponad bór wylata,
roztoczył złote pióra na śniegu kurzawę —
patrz, jaka barwa skrzydeł świetna i bogata,
tylko piersi ma krwawe, krwią dymiącą krwawe...
On na doł nie spogląda — coraz wyżej leci,
zawisł w śniegowej chmurze, zawisł nad chmurami,

już kędyś blizko słońca złotem skrzydłem świeci,
a krew cieknie mu z piersi i tu ziemię plami...
On na dół nie spogląda; dumny i zuchwały
wzbija się coraz wyżej, snadź uciec od ziemi
i przepaść pragnie kędyś pośród chmur nawały,
i tyko zdala błyszczy skrzydłami złotemi...
A krople krwi, co cieką z jego piersi rannej,
padają, przeraźliwy deszcz i nieustanny...

O jasne mórz lazury, o wy srebrnopiane
fale, słodką muzyką wiatru kołysane;
o wyspy i wybrzeża pełne kwietnych zacisz,
pełne gajów oliwnych i różanych szmerów;
o słońce, co świat życiem przebujnem bogacisz
zielenią strojąc ściany wygasłych kraterów;
cudny śnie wyobraźni, widzenie natchnione,
błękitnych słów, liliowych tonów harfo złota,
miejsce ciszy, pokoju, melodyi świetlanej,
harmonii, co modrą niebiosów oponę
i modre w jeden błękit zlewa oceany;
o źródlana oazo pustyni żywota:
oto tam, na granitach, w chmur ciemnej żałobie,
w martwej, śródskalnej ciszy, daleko, daleko,
złoty ptak, lodem bity, zmarzły, śni o tobie,
a krople krwi mu z piersi na śnieg biały cieką.

NAD MORZEM.

I.

Smutek i martwość upadły na duszę —
i oto błękit ów jasny i czysty,
i morza lazur złoty i świetlisty,
i róż girlandy i palm pióropusze,
i słońce, blasków kaskadą rozrzntne:
wszystko tak martwe stało się, tak smutne.

Więc jasność owa, pogoda i radość,
wszystko w człowieczej duszy ma początek,
i trzeba strzec się swych własnych pamiątek,
aby nie oblec świata w kir i bladość,
i trzeba kryć się przed swą myślą własną,
gdy od niej słońca ciemnieją i gasną...

II.

O morze! oto do twej głuchej fali,
goryczą własnych myśli nieszczęśliwa,

ziemią znękana, bez ostoi w niebie:
rzuca się dusza, by uciec od siebie,
i, jak łódź wichrem pędzona, odpływa
dalej i dalej, w bezbrzeż, coraz dalej...

Dalej i dalej... Już, zda się, zatraca
pamięć swej klęski, swoich win i kary,
i gdy poza nią skraje lądu znikły,
siedziby swojej zapomina zwykłej —
płynie — aż ujrzy, że płynąc w bezmiary,
tam, zkąd uciekła, niezmiennie powraca...

ANIOŁ PAŃSKI.

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona...

W wieczornym mroku, we mgle szarej,
idzie przez łąki i moczary,
po trzęsawiskach i rozłogach,
po zapomnianych dawno drogach,
zaduma polna, Osmętnica...
Idzie po polach, smutek sieje,
jako szron biały do księżyca...
Na wód topiele i rozchwieje,
na omroczone, śpiące gaje,
cień, zasępienie od niej wieje,
włóczą się za nią żal, tęsknica...
Hen, na cmentarzu ciemnym staje,

na grób dziewczyny młodej siada,
w świat się od grobu patrzy blada...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona...

Na wodę ciche cienie schodzą,
tumany się po wydmach wodzą,
a rzeka szemrze, płynie w mrokach,
płynie i płynie coraz dalej...
A coś w niej wzdycha, coś zawodzi,
coś się w niej skarzy, coś tak żali...
Płynie i płynie, aż gdzieś ginie,
traci się w górach i w obłokach,
i już nie wraca nigdy fala,
co taka smutna ztąd odchodzi,
przepada kędyś w mórz głębinie
i już nie wraca nigdy zdala...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona...

Szare się dymy wolno wleką
nad ciemne dachy, kryte słomą —
wleką się, snują gdzieś daleko,
zawisną chwilę nieruchomo
i giną w pustem gdzieś przestworzu...
Może za rzeczną płynąc falą,
polecą kędyś aż ku morzu...
A mrok się rozpościera dalą
i coraz szerzej idzie, szerzej,
i coraz cięższy, gęstszy leży,
zatopił lasy, zalał góry,
pochłonął ziemię do rubieży,
na niebie oparł się ponury...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona...

Idzie samotna dusza polem,
idzie ze swoim złem i bolem,
po zbożnym łanie i po lesie,
wszędy zło swoje, swój ból niesie,
i swoją dolę klnie tułaczą
i swoje losy klnie straszliwe,
z ogromną skargą i rozpaczą

przez zasępioną idzie niwę...
Idzie jak widmo potępione,
gwiżdże koło niej wiatr i tańczy —
w którą się kolwiek zwróci stronę,
wszędzie gościniec jej wygnańczy — —
nigdzie tu miejsca niema dla niej,
niema spoczynku, ni przystani...
Idzie przez pola umęczona,
łamiąc nad głową swą ramiona...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...

PIERWOTNA PRZYRODA.

Cóż jest prócz ciebie przyrodo pierwotna,
godnego duszy, co pęta zdruzgoce
i krwi ofiarą ducha wzmógłszy moce,
staje się górna, dumna i samotna?

Tam, w nieskończoność idzie ona przez twą
wieczność i pełnię; tobą się oczyszcza
i depcąc nedzne ziemskich złud bożyszcza,
przeczuwa Boga olbrzymie królestwo.

Tyś jako potok letejski jest dla niej,
kędy swe skrzydła wniebowstępne pławi,
kiedy je życie zbrudzi lub okrwawi
i chce ją strącić z pod gwiazd do otchłani.

W tobie jest wszystko i ten ład jest wieczny,
co duszę ranną, rozbolałą, krwawą
ucisza, mówiąc: we mnie moc i prawo,
pierwsza przyczyna i cel ostateczny.

SYRYUSZ.

Syryuszu! Gwiazdy! Przed wieków milionem,
gdy ziemia była wiosenną i młodą
i lśniła wiecznie kwitnącą pogodą
pod niebem wiecznie w bezmiar rozzłoconem:

czy nie błądziły w uroczysku onem,
nad oceanów nieprzejrzaną wodą,
wówczas sny, cienie z aniołów urodą,
będące ciszą i światłem wcielonem?

Mówcie! Czy jasne te, pradawne cienie,
oceanową zadumane głuszą,
po wirze przemian, co się nieskończenie

rodzą ze siebie i okwitłe głuszą:
nie są w nas, własne straciwszy istnienie,
błękitem nieba zadumaną duszą?...

ORZEŁ MORSKI.

W cuchnącej menażeryi, w niewielkiej drucianej
klatce, na małym złomie bazaltowej skały,
siedzi, odąwszy piersi, smutny, osępiały
orzeł morski; tuż obok żółwie i pawiany.

Pokrwawionego kędyś w stepach go ujęto,
gdy mu kula złamała skrzydło pod obłokiem;
lata już całe bawi ludzi swym widokiem,
patrząc w półciemne okno źrenicą przymkniętą.

Bezduszne i bezmyślne gapią się nań tłumy,
gniewa je nieruchomość, obumarłość ptaka,
potrącają go, klatkę próbują zdjąć z haka,
ale niczem nie mogą wyrwać go z zadumy.

W ciasnem, dusznem więzieniu dumny ptak kró-
[lewski
lat dziesiątki już ginie w męczarniach powoli;
za widok jego płacą, jego ból nie boli,
więc ginie między druty zamknięty i deski.

A tam — szeroka, pusta niebiosów opona,
jasny, wielki krąg słońca daleko, daleko...
hen, w dole, chmur srebrzyste tumany się wleką
i płaszczyzna wód morskich, ciemna, nieskoń-
[czona...

Tam — wysp zielone smugi i okrętów białe
migocące się ławy i bory olbrzymie;
wulkany, grzmot w czerwonym ciskające dymie,
i śnieg, srebrzący szarą górskich wierchów skałę...

Oto noc. Siadłszy kędyś na podniebnej skale,
osrebrzony światłością księżyca, powoli
olbrzymi ptak zasypia w światła aureoli,
w majestacie potęgi i królewskiej chwale.

Śni mu się jego straszna moc i lot zuchwały,
śnią mu się łowy, walki, burze, oceany...
cóż ci się tu śni, orle, w twej klatce drucianej?
I tu ci dano kawał bazaltowej skały!...

PODWODNE WIDMO.

Vogue la galère! Vogue la galère!
Szeroko szumią fale!
Podwodne widmo wzięło ster,
kieruje nim zuchwale;
podwodne widmo, dziwna baśń,
a, mówią, prawda święta —
czy chcecie płynąć w mrok, czy w jaśń,
ono łódź waszą pęta.

Podwodne widmo... Jest-li to
kształt poczwar, czy rusałek?
Ciekawą głową bić o dno
niejeden poszedł śmiałek...
Nigdy śmiertelnych ludzi wzrok
tej władzy wód nie zoczy —
nie wiemy: anioł czyli smok
pod nami fale toczy...

Napróżno oko sięgać chce
w głąb wodną, co nas niesie --

płyniemy — fala z fali mknie,
spiętrza się wzwyż i rwie się,
a nasza łódka płynie w dal
przez wielkich wód ciemnotę —
a ma za jedno wiosło żal,
za drugie ma tęsknotę...

Minione brzegi — próżne łzy —
żal serce w piersiach ściska —
wszystko przemija, mknie jak sny,
ledwo ujrzane zblizka...
O łódko! Stań na chwilę choć!
Nas życie nie odżali!...
Podwodne widmo pchnęło łódź,
i płynąć musim dalej...

Gdzieś na Nieznane wiedzie nas...
tęsknimy, ujrzeć chcemy,
znać chcemy już!.. Przemija czas,
przestwór jest zawsze niemy...
Jawią się wyspy, rośnie ląd —
więc to?! Więc tu łódź stanie?!
Podwodne widmo dalej ztąd,
łódź pchnęło na otchłanie...

Vogue la galère! Vogue la galère!
Więc płyńmy jak szaleńcy!

Podwodne widmo dzierży ster:
maż zdjąć nas strach jagnięcy?!
Wyżej się, falo, wyżej wzbij!
Spiętrzaj się, wodna toni!
Szalony, dziki wietrze dmij!
Niech łódź, jak orzeł goni!...

Podwodne widmo wiezie nas,
nie możem wstrzymać łodzi —
milczący na nas patrzy Czas:
w łódź siedliśmy tak młodzi...
Podwodne widmo wzięło ster,
próżnośmy sznur szarpali —
Vogue la galère! Vogue la galère!
Dalej i dalej, dalej...

Aż zobaczymy kędyś brzeg,
ląd pusty i skalisty,
i ujrzym między skały wbieg
wody posępnej, mglistej —
port wieczny... A gdzieś w oczach nam
z mgieł złoty kraj się rodzi...
Wszakżeśmy chcieli płynąć tam,
wszak to miał cel być łodzi!...

WIERZBA.

Nad wodą szarą, wodą mętną
posępna, cicha wierzba stoi
i w wodę szarą, wodę mętną,
patrzy i rosą płacze w nią — —
o czem ta wierzba śni i roi,
czemu w głąb rzuca łzę za łzą?

O zmroku dzwon kościelny bije,
z dalekiej wsi głos dzwonu dźwięczy:
anioł pozdrawia to Maryę
Z śród łanów, z śród omglonych wsi...
Wędrowiec kędyś w polu klęczy,
a wierzba w wodę rzuca łzy.

O wierzbo, wierzbo! Czemu cieką
łzy z twoich liści w wodę szarą?
Że nad tą smętną rośniesz rzeką:
że w fal jej szumie ból i jęk?
Że się żałobną chwiejną marą
mgła przez pobrzeżny snuje łęg?

O wierzbo, wierzbo, wierzbo smętna,
w liściach jest twoich dziwne łkanie,
i jakby krwi w nich biły tętna,
i jakby grzmiał ginących śpiew — —
wierzbo, na chłopskim wzrosła łanie,
czy korzeniami pijesz krew?

O wierzbo, wierzbo, wierzbo smętna,
posępne drzewo ponad rzeką — —
rzeka gdzieś płynie szara, mętna
przez pola, lasy, między wsie — —
wszystkie łzy twoje w serce cieką,
w każdej krwi kropli łza twa wre...

SŁUP ZE SPIŻU.

Wśród huku fal i wód zamieci
gdzieś u wybrzeży morza
ze spiżu stoi wbity słup:
na nim latarnia morska świeci,
a jej szeroka jasna zorza
rozświetla statkom nocy grób.

O słup ten wściekle bije morze,
rzuca się nań nawałą,
wyrwać go z głębi swojej chce:
wściekają je te nocne zorze —
tyleby statków pochłaniało,
a słup ten światłem chroni je.

Fale na fale coraz nowe
na słup się rwą i tłoczą,
gwałtem go zwalić chcą i zmóc —
ze spiżu słup, ma dumną głowę!
Lecz jeśli padnie: nad roztoczą
będzie noc jedna, straszna noc.

NA PAMIĄTKĘ.

Jeżeli duchy mają żywot wieczny,
jeżeli wieczne przechodzą przemiany,
to ziemia dla nich jest tragedyą bytu;
żywotów jakichś marzą blask słoneczny
i chcą dla siebie czegoś z za błękitu —
i na nędz swoich patrzą krwawe rany.

* * *

Jeżeli kiedy choć godzinę jedną
jak gdyby cichem dalekiem ustroniem
było ci serce czyje; jeśli chwilę
spokój i ulgę w niem miałaś bezwiedną:
to już to serce zasłużyło tyle,
ażeby więcej nie zapomnieć o niem.

* * *

Jedno jest tylko zbawienie na ziemi:
zatłumić w sobie dzikie, ludzkie zwierzę,

za ideami lecieć słonecznemi
i zgłuszyć serca krzyk w wielkiej ofierze
i zapomniawszy swojej doli własnej,
niedolom cudzym być jak anioł jasny.

SATYR.

Prawda? Kiedy nam serce uczucie rozpiera
i z duszy uniesienie namiętne wybucha:
nagle widzim gdzieś z boku szpetną twarz satyra,
który oczy przymruża, patrzy w nas i słucha.

Drwi — a my zawstydzeni milkniem — i przepada
chwila ekstazy duszy, albo szału serca;
z iluż skarbów nas samych i ludzkość okrada
ten wiecznie czuwający nad nami szyderca!

PARODYA ŻYCIA.

Żyjemy często, jako te smutne jelenie,
urodzone i w puszczy wyrosłe za młodu,
które — stworzone wielkie przebiegać prze-
[strzenie —
zamknięto do zwierzyńca, w trzy morgi ogrodu

Mogą w biegu korzystać z sił swoich zapasu,
mają drzewa i wodę w potoku do picia,
żyją całkiem jak w puszczy — na trzech mor-
[gach lasu — —
i zabija je smutek tej parodyi życia.

GROTA.

Obraz raz namalował malarz ten: w przecięciu
wymalował wśród skały granitowej grotę,
w niej zaś ludziom podobną skrzydlatą istotę
pod ciasnym skał załomem w skurczu i przygięciu.

Istota owa, w skalną szczelinę zamknięta,
rękami i nogami, piersiami i głową
parła, ociekła potem, czeluść granitową,
co niezwruszona, twarda i zimna ją pęta.

Szparą, którą w głąb skały ściekają potoki,
sączy się blask słoneczny, jasne światło z góry,
aby ten bój oświetlić dziwny i ponury:
bój męztwa, siły, woli — i martwej opoki.

Uskrzydlonej istocie malarz w bladej twarzy
namalował wysiłku największego piętno
i ból i żądzę lotu wielką i namiętną — —
i świadomość, że skał tych nigdy nie rozważy.

DUCH ŚWIATŁA.

Płynę cichy i świetlany
przez przestrzenie nieskończone,
przez wieczności oceany,
w nadświatową płynę dal;
w gwiazd otchłanie, w mgieł oponę
patrzę jasnym, świetnym wzrokiem,
widzę światła, co potokiem
w bezmiar rwą się z pramgły fal.

Przy mnie ziemie się rodziły
ze słońc swoich pryskające;
widzę ciche ich mogiły
jak szybują ścięte w lód,
i padają znów na słońce,
giną, aby wstać z kolei,
wstają, aby w lat zawiei
zginąć, jak powstały wprzód.

Wieczny ruch, przemianę bytu,
wieczną śmierć i życie wieczne

widzę, płynąc wskróś błękitu
przez bezdenie pustych sfer;
bryły toczą się słoneczne
grzmiąc i hucząc na przestworza,
szumią lotnych mgławic morza,
brzmią miliardy świetlnych skier.

W ponadziemskich gędźb tych toni
płynę cichy, niewidzialny,
u stóp moich czas się kłoni
i z gwiazd gwiazdy tworzą się...
Gdzie wszechmocny, tryumfalny
ruch Istnienia koło toczy:
w sfer głębinie mknąc przezroczej
cicho, słodko, bosko śnię...

WIDZIADŁO.

W ponurą rozpostarte dal
północne szumi morze,
wśród mgły ciągnących z wichrem fal
dźwięk rogu grzmi w przestworze.

Z posępnych głusz, z odmętów mgły,
gdzie odpoczywa burza
i grom wśród chmur wiszący drży:
widziadło się wynurza.

W samotnej łodzi, którą fal
kołyszą mętne piany,
wypływa rycerz, w czarną stal
od stóp do głów skowany.

Na hełmie pęk ma czarnych piór,
miecz mu pod ręką leży,
płynie, jak chmura pośród chmur,
jak piorun, nim uderzy.

Do ust przykłada długi róg,
dech z piersi czerpie wzdętej
i grzmi, jak burz północnych bóg,
na mgły i wód odmęty.

Fale zawichrza rogu dźwięk,
ponury i rozległy,
zda się, w ogromny wichry pęk
w gardło się rogu zbiegły.

Fale się mącą, przestwór duży,
sklep nieba, zda się, runie —
on, nieruchomy, płynąc grzmi
na rogu swym piorunie.

Wstrząsa ląd cały wszerz i wzdłuż
i głębię mórz bezdenną,
i ginie, trąbiąc pośród głusz,
ponurą pieśń wojenną.

A długo jeszcze rogu dźwięk
przez wód przelata puszcze,
i wśród mgły słychać wichrów jęk
i morze głucho pluszcze.

CHRYSTUS i MAGDALENA.

(Do obrazu Edelfelta »Christ et Madeleine«).

Błękitne mgły pajęcze
owiały drzewa śpiące,
po siwych wodach tęcze
włóczyło złote słońce.

Słoneczne zamyślenie
świat owładnęło cały,
gdy Maryi Magdalenie
zjawił się Zmartwychwstały.

Zgięła ją cześć i trwoga,
żałość ścisnęła łono — —
a On szedł tam do Boga,
w dal senną, nieskończoną.

W błękitne mgły przejrzyste
szedł biały w blaskach słońca,
a ona szepcąc: Chryste!...
patrzała nań klęcząca.

NARODZINY WIOSNY.

Gdy pierwszy nastał dzień wschodzącej wiosny
[młodej,
najpierwszy zbudził się śpiący na dnie bóg wody,
i powstał z chłodnych leż i głową kędzierzawą
uderzył w lód, co legł na rzece lśniącą ławą,
i rozpękł z hukiem lód i z prądem kry się suną,
a w słońcu suszył bóg swą głowę krętoruną. —
A gdy goręcej blask słoneczny padł na gaje,
bogini wonnych ziół z pościeli miękkiej wstaje,
i rozpuściła włos, co aż do ziemi spływa,
i naga polem szła bogini złotogrzywa,
a kędy pola tknie jej włos, tam wnet się trawy
zielona puści ruń i szczaw zielono-rdzawy. —
Owiana ciepłem zórz, wiosennych tchem po-
[wiewów,
pieszczona wonią sfer, z różanych wyszła krzewów
i uśmiechnęła się do złocistego słońca
bogini, córa nieb, kwiatami władająca.
W złocisty szafir ócz objęła świat miłośnie,

a kędy spojrzy, kwiat prześliczny wnet wyrośnie
i wkoło lilij, róż, narcyzów kwitnie mnóstwo,
a wśród nich słońcu śle uśmiechy jasne bóstwo. —
I powstał lasów bóg, strząsł zwiędłe liście z głowy,
i z świeżych sobie wnet splótł liści wian dębowy,
i rozkołysał drzew gałęzie i konary,
i słuchał — — płynął hymn, hymn uroczysty stary,
i długo słuchał bóg w powadze i zadumie
odwiecznych baśni w tym rozkołysanych szu-
[mie. —
Brodatych faunów huf i śnieżne nimfy społem
za ręce wziąwszy się, pląsają nadzy kołem
na łące, kędy blask od słońca złoty pada — —
przy cudnej wiatru grze tam pląsa bóstw gromada.
Świat pachnie, lśni się w krąg i jakaś moc miłosna
lubieżnie pieści go... Rodząca wstała wiosna.

BALLADA.

Hej hetmanie, hetmanie,
gdzie to jedziesz, gdzie jedziesz tak skoro?
Czyli żona cię czeka, czy ci droga daleka,
a do stada rabusie się biorą?

Ej nie jadę, nie jadę
ni do żony, ani też do stada,
jeno jadąc tak w drogę, przedsię wcale nie mogę
ani uciec, ni dognać — powiada

Hej hetmanie, hetmanie
co cię ściga, coć zasię uchodzi?
Czyć z grzmiącemi podkowy rycerz ściga krzy-
czy tatarski umyka ci złodziej? żowy,

Nie to, nie to — powiada —
ni uciekam, ni gonię przez drogę,
lecz przed własnym mym bólem zbiec nie mogę
ni wesela dojechać nie mogę. [tem polem,

CZARDASZ.

Hej, czardasza ty mi graj
cygańska muzyko!
Huczcie basy, gęślo łkaj,
a szumnie, a dziko...
Ile smutku w duszy mej,
ile klątwy, żalu:
tyle w gęśle twoje wlej
hej, czardasza graj mi, hej,
  Cyganie-góralu!...
Ile żalu w piersi mej
tłumionego dumnie:
tyle w gęśle twoje wlej,
hej, czardasza graj mi, hej,
a dziko, a szumnie...
Hej, w nas obu skalna krew,
dusze w obu harde —
wygraj-że mój cały gniew,
cały gniew i wzgardę...
  Słuchaj, słuchaj — szumi bór

daleko, daleko — —
zagraj-że mi, jak on gra,
kiedy wicher po nim gna,
niech ze smyczka leci wiór,
niech łzy ze strun cieką...
Hej! Niech mój nie pada trup
na doliny nizko — —
nie dla niego w ziemi grób,
ni śmierci igrzysko!
Na granitach leżeć mu
wśród ciszy nadskalnej,
niech kołysze go do snu
łkający wiatr halny...
Niech mu szumią smutnych limb
konary zielone,
chmury mu uwiją nimb,
a tęcze koronę...
Wielkie orły lecą tam
i krążą i kraczą,
z granitowych płynąc bram
wielkie wody płaczą...
Smutno grasz mi — smyk ci drga
od jęku, od żalu,
i w oczach ci błyska łza
Cyganie-góralu!
Hej, Zmień nutę! Słyszysz ty?!
Niech ze smyczka lecą skry,

cały ogień mojej krwi
wlej w struny cyganie.
Wygraj-że mi szepty te,
gdy się dusza w duszę rwie,
kiedy z wargi tryska krew,
drży dziewczyna tak, jak liść,
i cała — kochanie...
Hej, szalony zawiedź śpiew!
Nim nam z tego świata iść,
niech przepali rozkosz nas,
mózg i serce spali wraz!
Hej dziewczyno! Do mnie tu,
póki stanie w piersi tchu,
ssij życie, pij krew!...
Hej, czardasza ty mi graj
cygańska muzyko;
a ty dziewczę usta daj,
przepijemy choćby kraj, [1])
wróżka nam powróży z kart,
czy nas prędko porwie czart,
a nim porwie, graj nam, graj,
a szumnie, a dziko!...

[1]) Kraj ziemi — duży obszar ziemi. (Prowincyonalizm).

ODA JOWIALNA.

Jak na górach południa, zaledwie śnieg znika,
wykwita macierzanka i różyczka dzika,
a dzwonek się przy ziemi
listeczkami uśmiecha fioletowemi;

i amarant się puszcza i wiąz pachnie młody
i czerwienią się w trawie zielonej jagody,
a pasterz, pędząc kozy,
żółtemi jaskry widzi zdobione wąwozy:

tak, młodzieńcze! i tobie zakwitnie zielono
dusza i skroń czuć będziesz kwiatem umajoną,
gdy — o szczęsny poranku! —
ostatni wypłacony weksel wyjmiesz z banku.

ODA PRZESTROŻNA.

Studyuj, mi care, pilnie naukę, z której
nieśmiertelną cześć niegdyś Hipokrat zyskał,
poznaj ciała ludzkiego wszelkie tajniki,
abyś,

jeślić kiedy postawi los wprost kobiety,
której urok ci duszę młodą opęta:
poznał zawczasu, czyli ma ona w łonie
serce?

Tak, gdy podróżny w górach pnie się na krawędź,
kędy wiatr się przetacza, jak nurt kaskady:
niech wie, czy za krawędzią ścieżkę, czy przepaść
znajdzie?

Nie czas bowiem zawracać, gdy bezdeń ciemna
myśli w głowie pomiesza i rwie ku sobie,
i śpi wysokie niebo, kiedy niebaczny
runie.

»COGITO, ERGO SUM«.

Jak się zwierciadło w życiu przydać może,
na moim własnym pokażę wam wzorze.
Były raz chrzciny. Przyszło mnóstwo państwa,
szlachty, mieszczaństwa,
panie pełne godności, panowie powagi,
młodzież miała pozycye, dziewice posagi,
wszyscy pięknie mieszkali, przyzwoicie żyli,
w lecie jeździli do wód, w zimie się bawili,
panie się z hrabinami stykały na kweście,
panom się odkłaniali prezesi na mieście,
słowem, była kompania wielce znamienita,
o mało że nie elita.
Czułem się tam tak zmiażdżony,
przygnieciony, znicestwiony,
taki nikły, taki cieńki,
taki drobny, tak maleńki,
w nos tym broszom i krawatom
taki pyłek, taki atom:
że pod litościwemi tych panów oczyma

i pań pełnym ironii pobłażliwej gestem,
pewnym był, że naprawdę wcale mnie już niéma...
Wtem patrzę: lustro... Z szczęścia zadrżała mi
[dusza!
O boskie, o wybawcze słowa Kartezyusza!
Myślę, to nic! lecz widzę się w lustrze, więc
[jestem!

Z EXODUS

(ROZDZIAŁ XVII)

A onego czasu
wyruszył był Amalek z hufcami mnogiemi,
wśród trąb grzmotu i mieczów chrzęstnego ha-
[łasu
Izraelowi czynić wstręt w rafidzkiej ziemi.

A gdy kroczył przez pola, pyszny i zuchwały,
w miecącej ognie zbroi, na czele tysięcy:
Ziemia drżała i drzewa korony schylały,
a na ród Izraela padł przestrach jagnięcy.

Wonczas do Jozuego rzekł Mojżesz: A oto
wybierz męże i wynijdź w pole przeciw temu,
przez ręce moje ręce Pana ich wygniotą,
bo jest Pan na niebiesiech mocny, ufaj Jemu.

Oto jutro o brzasku dnia wstąpię na wzgórze,
w ręce mojej od Boga daną laskę dzierżąc,
i mur Amalekowej mocy na szczęt zburzę,
bo jest Pan na niebiesiech. Więc idź, Jemu
[wierząc.

Tak rzekł. I szedł Jozue precz i wybrał męże.
A przez noc całą ognie świeciły z stron obu
i chrzęst czyniły groźny ostrzone oręże,
a w górze na niebiosach była cisza grobu.

A gdy rano zabłysła zorza i na trawy
cień rozpoczęły rzucać palm liście zwieszone,
przy grzmocie trąb ruszyły wojowników ławy
bić mieczem o pancerze, jak młotem o bronę.

Zaś Mojżesz szedł na wzgórze, po oboim boku
mając za towarzyszów Chura z Aaronem:
stanął i spojrzał, kędy kwiożerczemu smoku
rówien, walczył Jozue żelazem czerwonem.

I podniósł Mojżesz rękę, a wraz, zbywszy mę-
[ztwa,
cofnął się wstecz Amalek, dając Panu chwałę,
jak się łoś cofa, gdy go leśna wstrzyma gęstwa,
podobny strumieniowi, co napotka skałę.

A gdy opadła ręka Mojżesza — jak kłosy
wiatr w tył zgina, podobny orłowi z błękitów
grożącemu jagniętom owcy krętowłosej:
Amalek król wstecz hufce parł Izraelitów.

Ale ręce Mojżesza osłabły, więc ona
para mężów, Aaron i Chur, kamień spory
wziąwszy, podłoży podeń i siadł, a ramiona
oparłszy na ich barkach, podźwignął do góry.

I stali po oboim Mojżeszowym boku
Chur i Aaron, a zaś u stóp ich, na dole,
walczył Jozue, rówien krwiożerczemu smoku,
kitę hełmu na wichrów rozpuściwszy wolę.

I gdy blask szedł po mieczów skrwawionych
[tysiącu
i migały na zbrojach łskliwe błyskawice:
Mojżesz, jako słup biały stał na wzgórzu w słońcu,
topiąc w błękitnem niebie natchnione źrenice,

I widział tam twarz Pańską, podobną czerwono
świecącemu się słońcu, jak żar, gdy przestworza
schną w ogniu huraganów, gdy okręty toną
i ryczącemu niebu wtóruje ryk morza.

I widział tam twarz Pańską, podobną do grzmotu
wiszącego w obłokach i do oceanu
grożącego burzami i podobną złotu,
co weseli ubogie i wodom Jordanu —

umiłowanym wodom wielkiej, świętej rzeki
płynącej gdzieś w odległej obiecanej ziemi,
wśród palm sennych i cichych, chroniących od
[spieki,
i kwiatów woniejących woniami cudnemi.

Patrzył w twarz Pańską, skrytą, a Jemu wi-
[dzialną,
i drżał, jakby ogniste gromu pióropusze
wisiały mu nad głową, a wraz tryumfalną
czuł moc przenikającą całą jego duszę.

I czuł, jak z duszy jego przez wzniesione ręce
idzie dreszcz o kłach białych i strach krwawooki
i lęk, lodowych wężów ciskający wieńce,
w Amaleka czerwone hufce od posoki.

A nie ustały ręce Mojżesza od trudu,
aż do zachodu słońca, gdy nieprzyjacioły
Jozue, wódz zwycięzki wybranego ludu,
gnał przed sobą, jak powódź gna stepem ba-
[woły.

KOLUMNY SAMSONA

25. I stało się, gdy byli dobrej myśli, że rzekli: Zawołajcie Samsona, aby błaznował przed nami.

Księga Sędziów.

Przyprowadzono go popod kolumny,
aby błaznował.
Lud zgarnął się tłumny,
a wielka radość była weń rzucona,
bowiem Pan podał im w ręce Samsona
i we więziennym domu go zamknięto;
więc wielkie było w Filistynach święto
i wielkich ofiar bił dym dla Dagona. [1])

Wyprowadzono go z domu więzienia,
aby błaznował i poił weselem
tych, którył kruszył grzmot jego imienia
i co na odgrom jego kroków drżeli,

---

[1]) Dagon — bóg filistyński.

a którzy teraz, spokojni i śmieli,
mogli się pastwić nad nieprzyjacielem...
Był ślepy, siły pozbawiony, w pętach.
Ów straszny Samson, który, o sromoto!
sam tysiąc mężów zabił kością: oto
trwogi nie budzi nawet w pacholętach
i nędzne chłopię prowadzi olbrzyma
z wyłupionemi, krwawemi oczyma.

Samsonie! błaznuj! błaznuj nam Samsonie!
woła lud gwarny, jak fale ryczące,
a co przedniejszych z ludu trzy tysiące
siadło wśród niewiast na płaszczyźnie poważ,
by patrzeć z dachu, jak będzie błaznował.
Tłum szalał śmiechem — ten mocny, ten krwawy,
ten wróg szyderca, skrępowany w liny,
jest dziś zabawą, skacze dla zabawy,
trzymany ręką nieletniej dzieciny!
I można plwać nań i w oślepłe oczy
miotać mu piasek, aż je krew ubroczy,
i można rzucać mu na zgiętą głowę
klątwy i gorsze klątew urąganie:

Samsonie! Wzywaj strasznego Jehowę!
Niech zejdzie z niebios i przed tobą stanie!
On wszakże wywiódł z Egiptu Mojżesza
i Jozuemu przygwoździł krąg słońca,

i morze rozdarł od końca do końca —
niech cię wybawi!...
Urąga mu rzesza,
a on, pośrodku stojąc, czuł, jak wzbiera
w nim tak nienawiść, iż brzmieją mu żyły
i dech się w piersiach rozdętych zapiera,
i wszystka krew w nim i wszystkie w nim siły
i wszystka myśl w nim i czucie i ciało:
wszystko się jedną nienawiścią stało!...
Ha, tłum piekielny!... Ha! Jak tego wroga
on nienawidzi!... To padalcze plemię,
którego wałem raz zawalił ziemię,
zdradą go wzięło, szydzi zeń i z Boga!...
I tak się modlił w duchu: Panie Boże!
Przez oto wszystko, co tutaj ponoszę,
przez hańbę moją, bicz i te obroże:
ten raz mię tylko jeden zmocnij, proszę,
abym za moje wyłupione oczy
i wieczną mękę w ciemnościach ponurych
i wieczną śmierć mą: zmiażdżył ten łeb smoczy!...

I kazał wieść się pod słupy, na których
był dach stawiony i oparł się o nie,
a lud wył nad nim: Błaznuj nam Samsonie!...
I oto uczuł pod słupami temi,
jak łaska Pańska zstępuje nań z góry,
bo mu się ugiął pod stopą bok ziemi

i głaz zadźwięczał, gdy wstąpił pod mury.
I rozparł ramię na lewo i prawo,
jak krzyż, a krew mu biła w piersiach lawą.
Rozprężył ręce — o rozkosz! z kamienia
wypełzł strach blady i zadrgał mu w rękach!
O Boże! Zda się, światło przepromienia
wydarte oczy! O Panie w niebiosach!
Dzięki Ci, dzięki! Bo oto we włosach
ogień, żar żywy krąży; w włosów pękach
sto gromów biega...
Sto śmierci daj, Panie,
daj lęk okropny i wolne skonanie,
daj taką boleść i takie męczarnie,
których myśl ludzka cała nie ogarnie,
których przeczuciem krew się w żyłach ścina!
lecz daj w tej śmierci śmierć dla Filistyna!
Panie! daj w łasce Swojej, niech się ziści,
ogrom Twych sądów i tej nienawiści...
I jako niegdyś hen, w gazejskiej bramie:
wciągnął w pierś wicher i wyprężył ramię...
Zgięły się słupy — a potem odrazu
pękły, upadły i lawina głazu
runęła z trzaskiem... Ziemia wskroś zadrżała,
walą się mury, krzyk grozy w motłochu,
wyjąc, spadają z dachu krwawe ciała —
huk, łomot, piekło...

Wzdęta chmura prochu
Zakryła słońce...
Rozpierzchnięta tłuszcza
patrzy zdaleka, zgrozą oniemiała,
jako bawolic stado, gdy z bawołem
lew się w kurz zarył, padłszy z nim pospołem.
Czarny kłąb prochu wzroku nie przepuszcza —
wreszcie przejrzeli... O piekielne dzieło!
Pośród strzaskanych, krwią oblanych słupów:
strasznych, zmiażdżonych trzy tysiące trupów!
Ciał trzy tysiące!.. Już nie słychać jęków,
pod hurmą gruzów wszystko już zginęło —
milczenie śmierci, straszniejsze od szczęków
wojennej wrzawy i topielców wycia,
weszło na zwały...
A on tam, bez życia,
ostatkiem swojej zgruchotanej twarzy
niebu się śmieje, błogosławi Pana!
Och! najstraszliwszy z śmiertelnych grabarzy,
straszny, jak pomór!... Zemsta dokonana...
Samsonie! zemsty dokonane dzieło!
niech wielbi Boga twa krew, co się niebu
z śród gruzów jeszcze dymi, jak ofiara.
O dym dziękczynny! takiego pogrzebu
nikt jeszcze nie miał — ani taka kara
była słyszaną...

WYSPA UMARŁYCH.

(Illustracya do »Die Todteninsel« Böcklina).

Wyspa umarłych... Nagie, strome skały,
wkoło dalekie, nieskończone morze,
gaj cyprysowy, ciszą skamieniały,
spokój wód wieczny... Bóg śmierci posępny
duszom ten grodziec zostawił ostępny
i odwróciwszy twarz, odszedł w bezdroże.

I w długiej łodzi o milczącem wiośle
Charon tu z brzegu białe wiezie dusze
i w ciemne, wązkie wwozi je zarośle
między dwa słupy z kamienia, na których
dwa lwy o głowach groźnych i ponurych
patrzą na siebie — zasłuchane w głuszę.

Po krzesanicach mech się pnie zielony,
cyprysy smukłe nad morską głębiną
widzą swój smutny kształt odzwierciedlony
i nieruchome patrzą w niebo w górze,

gdzie nigdy złoto nie płynie i róże,
a tylko sine mgły obłoków płyną.

Słońce i księżyc tu się toczą kołem
zawsze spokojnem, zawsze jednakowem:
nad wód granatem, pod nieba popiołem,
wstają z przepaści i schodzą powoli
w otchłań w martwego blasku aureoli,
długo lśniąc światłem cichem i matowem.

Tu dusze, cieniom podobne, milczące,
snują się białe przez ciemną zieloność
po bladych plamach, które kładzie słońce;
lub z wązkich okien, kutych w skałach ściennych,
patrzą po falach szklannych i bezdennych,
patrzą się w mglistą, wieczną nieskończoność.

Inne na głazach, co się wznoszą z wody,
siadają z nadół pochyloną twarzą;
mijają słońca zachody i wschody,
one, w granacie morskich fal widome
i na drzew widmie: białe, nieruchome
siedzą, do głazów podobne, i marzą...

Dusze, co serca płonęły pożarem,
te, co za wiele czuły i cierpiały;

co się pytały pod uczuć nadmiarem:
z jakiego kruszcu twarda Boża ręka
kuje pierś ludzką, że w ogniu nie pęka?
te w te spokojne, morskie idą skały.

SZALONY FAUN

Szalony wybiegł w pole Faun,
gdzie Nimfy wiodły skoczny tan,
barwisty zerwał z głowy wian
i cisnął, aż się rozsuł w strzęp
kwiat wytargany z wodnych kęp.
A z pod skrzydlatych, białych stóp,
złotego pyłu wznosząc słup,
o ciałach z świeżą wonią bzów,
Nimf smukłoudych krzyczał huf;
»Szalony Faun! Szalony Faun!«
I tysiąc kwiatów z szybkich rąk
padło na bożka, który stał
bronzowy wśród różowych ciał,
jak rudy szczaw wśród lilij z łąk.
»Pójdź! — tak krzyczały — Boski szał
z pachnących naszych bije ciał!
Niech żyje bóg, co winnych gron
jasny nam w usta wciska plon!
Niech żyje Pan, którego flet
pasterza śniady widzi grzbiet,
a gdy ucieka, głośny śmiech
bożka go ściga grzmotem ech,

że aż zgubiwszy ser i bat,
ledwo zagrody dopadł rad!
Niech żyje Kiprys, z piany wód
zrodzona, co nam nocny chłód
pomaga znieść, gdy Satyr nas
skrycie uniesie w ciemny las
i na posłaniu z traw i mchu
ogrzewa ogniem swego tchu!
Niech żyje Kiprys! Evoe!
Pójdz z nami! Zefir w róg swój dmie!
Rozkoszny powiew muska nas!
Pójdź z nami! Tańczy cały las!
Niebo zatacza wkoło pląs!
Patrz! Sum się z rzeki podniósł, wąs
najeżył, jak myśliwski grot
i w tan się w rzece puścił w lot!
Patrz jaka piana, jaki szum!
Evoe! W rzece tańczy sum!
Hu, ha! Już ptaki biją nam
do taktu w skrzydła, pryska szlam!
Dzikich cyranek lotny sznur
spadł na brzeg rzeki z rannych chmur!
Hu, ha! Pójdź z nami, w wian się wwij
Ty kochasz białość naszych szyj,
ty kochasz piękność naszych nóg!
Nimfy i taniec stworzył bóg!...«

I jak skrzydlatych stado mew
z głośnym trzepotem, z szumem piór,
leci ku niemu biały chór,
a jemu w oczach błysnął gniew
i krzyknął, tupiąc nogą: »Precz!
Dłoń moja ostra jest jak miecz!
Precz ty gromado nagich ciał!
Dość długo już wasz okrzyk brzmiał:
Szalony Faun! Szalony Faun!
Precz!...« Nimfy pierzchły... Został sam
i cisza zwolna zeszła nań
wśród westchnień wichru, wody łkań
i szumu kwiatów... Kędyś tam
daleko, u śródmorskich skał,
śpiew Syren czarodziejski brzmiał...
Szalony Faunie! Bożku z grót!
ścigaczu smukłokształtych ud:
czy łzy w twych oczach? Czy to z wód
dalekich krople miecie wiew
chłodnego wiatru? Czy to śpiew
dalekich Syren wzruszył cię?...
On zaś ku niebu modlił się:
»O jasnoczoła, Pani ros,
któremi błyszczy leśny wrzos,
Pani tych świateł, co się szklą
na fali pod poranną mgłą,
Pani tych barw, któremi lśni

morze, wpływając w nocny cień,
Pani błękitnych, cichych dni,
Pani błękitnych nieba drgnień,
najczystsza z czystych, z woni róż,
z liliowych blasków, które wzgórz
szczyty w zachodu stroją czas:
zrodzona; ty, coś przeszła raz
przez świat ten, by zostawić mu
tęsknotę nadziemskiego snu:
ciebie chcę kochać!... Dzień i noc
szukając cię, przebiegłem świat —
ani mię trud nie zdołał zmóc,
ani mię z drogi cofnął strach,
ale twej białej stopy ślad
widziałem tylko w moich snach...
Szalony Faun! Szalony Faun!
Z lasów, z grót, z gajów ściga mnie
namiętny pokrzyk leśnych dziew,
lecz gdy ulegnę czarom tym,
piekielny mnie ogarnia gniew
i, odtrącając rozkosz wstecz,
znowu za śladem idę twym
i szukam cię... i gonię cię,
a ty uchodzisz dalej, precz,
i znam cię tylko w moim śnie...
A jednak jesteś! Imię twe
jest pośród imion, jako kwiat;

i bóg i człowiek, gdy cię zwie
duszą w odmienny wchodzi świat
i w oczy jasność spływa mu,
jakby melodyi słuchał tej,
co gdzieś, z gwiazd ciszy, z mgławic snu,
z dróg mlecznych brzmi dalekich zwiej...
Więc jesteś, Psyche! Jesteś! W czas
zachodu, z liliowych gaz
na szczytach wzgórz zrodzona: ty,
coś przyszła raz dać ziemi sny...
Jesteś! Czyż próżno szukam cię?
Czyż próżno tęsknię? Próżno wzrok
wytężam, czy nie ujrzę gdzie
twej twarzy przez obłoków mrok?
Próżno cię szukam, próżno chcę
w twojej źrenicy patrząc świt,
grążyć się w lat tysięcy toń?
Próżno chcę czaru twego myt
wkuć w życia kształt i przywrzeć doń?
Uchodzisz! czasem zda się już,
że widzę szaty twojej rąb...
Naówczas pędzę w światów głąb
i widzę — morza, co się z mórz
rodzą i góry weszłe z gór,
i widzę chmury płynne z chmur,
ale ty — uszłaś... Przecież wiem!
Nie jesteś złudą! Gdybym mógł

raz ujrzeć ciebie, twoim tchem
odetchnąć i u twoich nóg
modlić się, jak do gwiazd, do słońc!
Od wszystkich ziemskich wolny żądz,
jak jasne światło ciebie czcić!...
Lecz ty się lękasz... Leśny bóg,
ścigacz Nimf nagich, zwykły pić
rozkosz z ich ciał, jak wino z czar,
przeraża cię... Ty nie znasz, nie,
tych nocy, gdym z tęsknoty marł,
nad ciemnem morzem śledząc cię...
Ty nie wiesz, jakem błądząc w zmrok,
przed krzewem róż wstrzymywał krok
I oddech tłumiąc, ciebie z róż
wschodzącej czekał... Nie znasz dni,
gdym cię z słonecznych marzył zórz
ku piersiom spływającą mi...
i wyciągałem ręce w dal...
Szumiały morza, kwitnął krzew,
świecił się złoty słońca krąg,
a z moich wyciągniętych rąk
zbiegała w serce gorzka krew
gorzką tęskotę tlić i żal...
Nigdy więc, nigdy?... Próżny sen
i próżnom przebiegł cały świat?
Z niebieskich sfer, ni z morskich den
nie wyjdziesz? Niech więc która z strzał

Zeusowych runie mnie na szmat
i sen mój i mój ból i szał
roztargać!...« I, czy z nieba cud?!
Patrz, z krętej wełny, z koźlich nóg,
z kształtu, co wlewał żądzę w krew
śródmorskich Syren, leśnych dziew:
jasny się wypromienia bóg...
Już boski uśmiech mu się wplótł
w wargi, już wzrok światłością lśni,
już niewidzialnych jęła drżeć
u jego ramion skrzydeł sieć,
już tętno jego wrzącej krwi
stroi się rytmem z pieśnią ech
muzyki sfer... Już wszelki brud
i wszelki z niego opadł grzech...
W bóstwo go dziwny zmienia cud...
On bóg!... Do dumnych nieba wrót
wznosi się piersią, ręce wzniósł
i patrzy zachwycony w świat...
Dawny świat wkoło runął w gruz,
nowy rozwija się, jak kwiat...
To nowe życie!... W przestwór zórz
jasną Pieśń Chwały rozwiał Czas;
nieziemskich, niepojętych kras
strój objął ziemię... Z poza wzgórz
z błękitu dzianych i ze mgły,
na łąkę z światła: spływa huf

nieziemskich, niepojętych dusz —
pół-ciał, pół-blasków i pół-snów...
Wiatr rozwiał w niwecz koźlą sierć,
szalony Faun oczyma lśni
jak bóg... A wtem nań spadła śmierć.

TYTAN

Tytan wstał rano. Las, co odświetlistych ros drży
w rannym wietrze: woń świeżą posłał mu do
[nozdrzy,
pod nogą czuł drgającą życiem ziemi bryłę,
i uczuł w sobie żądzę, uczuł moc i siłę,
jaką czuł Czas, gdy z woli wszechwładnego Losu,
bogów, gwiazdy i ludzi utworzył z Chaosu.

Życie nad nim otwarte trzymało ramiona,
jak dziewczyna, pragnieniem miłosnem zwalczona.
Wzniósł głowę: oko jego, jak orzeł przegania --
odetchnął, pierś rozprężył: zda się — niebo
[wchłania.

Las się od ros świetlistych srebrzył, drżąc na
i zwisały oliwne gałązki ku ziemi, [wietrze
świecąc tłustym owocem i liśćmi lśniącemi.
Zbudziły się narcyzy, pereł szronu bledsze,
i wonny gaj różany, gdzie czerwone kwiaty
spojrzały w niebo. Gwiazdy, jasne nieba róże,
gasły jedne po drugich, a na chmur purpurze
rósł złoty kielich słońca.

Wówczas Tytan w światy,
co się nad nim niezmierne przetaczały cicho,
rzucił głos, płomieniami nabrzmiały i pychą:
»O Słońce! Niezrównaną mocą płodną płonne,
ogień twój, żądzę twoją ja mam w moich żyłach,
Tytan, wykołysany na powietrznych siłach,
u podnóża Olimpu przez wichry przegonne.
Uścisku białych Najad, białych Nimf mnie mało!
Chcę, aby w mych ramionach ciało rzeki drżało,
jak ciało białych Najad, jak Nimf białych ciało!
Z ust róży, z róż tysiąca, chcę ustami memi
pić rozkosz, a pod oliw gałęźmi tłustemi
leżąc, czekać, aż rosa z nich na skroń mi spłynie,
jak łza szczęścia, rozkoszą wydarta dziewczynie.
Piersi łąk objąć pragnę, biodra gór, co szczytem
wieńczą się umajeniem śniegów srebrnolitem,
jak liljową koroną. Niech wicher, co w szale
pożarem dusi palmy i w wir spiętrza fale
oceanu, że tonie flota przerażona,
otoczy mnie, okręci, jak białe ramiona,
gorące tak jak ogień i szybkie, jak piorun!
Deszcz promienisty, bujny, z jasnych chmur zło-
[torun,
którym się rozwiewają, szalejąc, niebiosy,
niech mi na barki moje upadnie, jak włosy,
włosy długie, jedwabne, pozłociste, lśniące,
a płomień, żar, pęd ognia ty daj z siebie, Słońce!

Niech mi jeziora szemrzą o wieczornej porze
te szepty ciche, słodkie, co zmieniają łoże
w eteryczną wędrówkę po niebios przestrzeni,
jakby świat był z bzów wonnych dziany i z pro-
[mieni.
Niech mnie morze kołysze na falistem łonie,
niech wznoszę się, opadam, kiedy wzrok mój
[tonie
w oczach gwiazd, co nademną błyszczą się tak
[złote,
jak źrenice Oread, zawiedzionych w grotę,
gdy pierś mą z piersią swoją pragną na wiek
[skować,
a szał miłosny dłoń mą skłania je całować.
W objęcia me, jak tabun rozhukanych koni
w nurt rzeki w czas spiekoty, aż zawre i bryźnie:
pędź Naturo! Istoty niech się nasze bliźnie
spłyną w jeden wir boski, w jedną Moc, od które
zadrży Ossa i szczyt się Pelionu pokłoni
i Cyklopów potworne zatrzęsą się mury!
Upojony mnie godnem szczęściem, oczy moje
wzniosę, kędy Olimpu są złote podwoje.
Tam chodzą jasne bogi, bóstwa niepożyte,
tam Zeus piorunem groźny, biała Afrodyte,
tam Juno, co się pawiem krasnopiórym wieńczy,
Hebe o bursztynowym włosie, oczach z tęczy,
i ta, co nigdy zmazy nie znała, ni grzechu,

Psyche, z kwiatów zapachem i barwą w uśmiechu.
Tam Ares z włócznią dartą z leśnego jaworu,
tam Apollo z kołczanem, bóg śpiewu i moru,
i Dyana, łowczyni, co dzirytem śmiele
dziki o kłach błyszczących w czarnej puszczy
[ściele —
tam pójdę!... Między bogi!... Pięścią mą wywalę
bramę kutą i w jasne wejdę nieba sale!
Życie bogów zdobędę! Krew w piersiach mi
[huczy —
niech będę tak jak oni! Niech na włos mój kruczy
upadnie liść laurowy, a pod nogi moje
biją ofiarnych dymów wonne, gęste zwoje!
Chcę bóstwo zdobyć! W uścisk gdy ujmę naturę,
cóż więcej zdobyć mogę?! Będzież co w przestwo-
[rze
jeszcze dumy mej godne? Wyższe nad mą żądzę?
Olimpu mi na ścieżaj rozpękną wrzeciądze,
jak psy, Zeusa pioruny powiążę w obroże,
sam, jak piorun wpadając w rozpostartą chmurę!
Chcę władać! Gdy ramiona me prężę, to zda się,
ty sam drżysz na swym wozie stukołowym Czasie,
bym za szprychy chwyciwszy gdzieś u nieba ścieku,
wozu twego nie zdzierżył i nie wstrzymał wieku,
albo zgoła twój rydwan strącając w otchłanie,
dał światu cichą wieczność, wiekuiste trwanie!
Żaden z bogów tej myśli powziąć się nie ważył...«

Tak wołał, a ząb mu się świecił i wzrok żarzył
i Najady zbudzone świtaniem i głosem,
patrzały z wiklin wodnych, otulone włosem,
gdzie się srebrzyły listki i zkąd się ku ziemi
staczał szron kropelkami w słońcu świecącemi.
Toż Fauny, nim swe trzody popędzą ku wodzie,
dziwią się bohaterskiej sile i urodzie
Tytana, co jak dębczak wyrosły na łące,
stał, podobny do boga. Zaś Nimfy pragnące
i nigdy nie dość syte miłosnej pustoty,
rozczesywały muszlą włos miękki i złoty,
aby podnieść swą piękność i powab pieszczony
błyszcząc różowem ciałem przez złote zasłony.

WIERSZ

KU UCZCZENIU PAMIĘCI

MICKIEWICZA

WIERSZ

ku uczczeniu pamięci Adama Mickiewicza

(Premiowany na konkursie uniw. w r. 1888).

Padliśmy w boju z rękoma skutemi;
zwycięztwo całej ogłoszono ziemi,
wrota nam grobu na ścieżaj otwarto,
tylko nam z piersi życia nie wydarto!
Pokonany naród mrze
nie od grotu, co tkwi w ranie,
lecz gdy wierzyć sam przestanie,
że pierś jego życiem tchnie,
a serc naszych każde tętno
żądzą życia drga namiętną!
Żyje naród, co gotowy
paść w obronie praw żywota,
co wprzód własną pierś zdruzgota,
zanim hardej ugnie głowy!
My żyjemy! To nie skon,
że zniszczenia straszny Bóg
w tryumfalny zadął róg

i uderzył w śmierci dzwon...
Niech świat spojrzy nam w źrenice:
ani strach tam, ani łzy,
ale dumy błyskawice
i odwagi piorun skrzy!
I napróżno ci się kuszą,
co nam serca w proch chcą zmienić,
bo serc naszych nie pokruszą
póki kropla w żyłach krwi —
bo wpierw trzeba z nas wyplenić
dumę, co nam jest pancerzem,
siłę, co z przemocy drwi!
Pierwej niechaj nam połamią
barki orlem zrosłe pierzem!...
Prawda! Dziś my pod pręgierzem,
ale tym co głosić śmią,
żeśmy zatracili siły,
że nam tylko iść w mogiły:
tym rzucamy w twarz, że kłamią
i że skon nasz tylko śnią!..

* * *

Jak się orły rwą do lotu,
gdy poczują moc swych piór,
nie lękając się ni grzmotu,
ni zionących ogniem chmur:
tak my młodzi, pełni wiary

w siłę prawic, męztwo dusz,
rozwijamy swe sztandary,
pragnąc wichrów, pragnąc burz!
Świętym naszym wielkim celem
być narodu wskrzesicielem:
przez nas musi wstać i żyć!
My go krwią wykarmim swoją,
pierś mu naszą zrobim zbroją,
my mu wszystkiem chcemy być!

W błękit brzmiącym być mu dzwonem,
który jego myśli dzwoni;
kochającem, wiernem łonem,
na które swą głowę skłoni;
słońcem prawdy być widomem;
z ran leczącą go krynicą;
w boju być mu tarczą, gromem,
męztwa świetną błyskawicą!
W dniach pokoju być mu kwiatem
z odrodzenia świeżą wonią;
jego czynów być bułatem,
jego pracy twardą dłonią!

* * *

Oto jest krzyż, co podjąć na swe bary
z zapałem chce młodzieńczy Polski syn;
nie trwożą go ni krwi, ni sił ofiary —
on kocha kraj, a umiłował czyn.

On pragnie iść, choć droga to daleka,
grożąca mu popiołem wrzących law,
by toczyć bój dla świętych praw człowieka
i choćby paść dla narodowych praw!

A jeśli dziś my młodzi przeznaczeni,
by dźwignąć kraj przez poświęcenia trud:
to serce w nas ideą się płomieni,
że wstanie z mar o jednej duszy lud.

W milionie głów myśl jedna niechaj żyje
i jedna pieśń niech z bratnich wzleci łon;
milionów dłoń niech jednym młotem bije
i jeden spichrz niech wspólny chowa plon.

Braterstwo serc nad stal jest zbroją tęgą;
gdzie różny duch — tam niczem jest moc ciał;
związany lud miłości wszechprzysięgą
okowy swe z pogardą będzie rwał!

Naprzód więc, naprzód!.. Ale przed nami
droga zasłana ciemnemi mgłami...
Pójdziemyż w chmurnych wichrów zamieci
i żadne słońce nam nie zaświeci?..
Czyż się rozprószym w locie bezładnie,
jako żórawie, gdy wódz ich padnie?..

Nie! My nigdy z prostej drogi
nie zbłądzimy na rozłogi,
ni nas kto z niej zepchnąć zdoła,
lub potrafi na niej zmóc;
bo przed nami
błękitami
płynie duchów naszych wódz!
Rozpiął skrzydła archanioła,
skrzydła wielkie, promieniste
i rozpędza mrok dokoła,
w sfery wiedzie nas świetliste...
Hetman to, co nie za krew,
nie z przesiąkłych łzami pól
zdobył laury, lecz za śpiew,
co Ojczyzny wcielił ból.

Harfiarz to, co harfę stroił
nie ku klątwie, ani łzom,
ale pieśnią duchy zbroił,
czynów pragnął wzbudzić grom!
i myśl jego na marmurze
naszych serc wyrytą jest,
jego idej myśmy stróże,
zeń rycerski bierzem chrzest.

* * *

Choć zstąpił Wieszcz do truny,
nie skona nigdy On!
Choć pękły harfy struny,
nie przebrzmiał harfy ton,
lecz zawisł gdzieś w błękicie
nad dymem polskich strzech
i z nieśmiertelnych ech
my czerpiem moc i życie.

Wieszczu! Niechaj nas słucha
duch wielki Twój,
bo oto z serc nam bucha
płomienny żar,
a z ust przysięga płynie,
jak rwący zdrój,
że za nim dzień nasz minie,
kraj dźwigniem z mar!
Oto już kuźnia dymi,
gdzie kujem broń;
do pracy my olbrzymiej
podnosim dłoń:
my zakuć naród cały
pragniemy w hart,
by w czynie był wytrwały
i zwycięztw wart!
Wieszczu! Ślubujem Tobie
na pług i miecz,
że pierwej legniem w grobie,
nim krok ustąpim wstecz!

* * *

Tak my ślubujem, my o sercu smętnem,
co zna swobodę tylko z dziadów wieści —
my, urodzeni z niewolników piętnem,

w pierwszym pacierzu uczeni boleści,
wykołysani przy pieśni żałosnej
i jęku mogił, które wróg bezcześci —

my, którzy jutrzni nie znamy radosnej,
bo każda nowy ból zwiastować może,
cośmy nie mieli w życiu jednej wiosny

i zawsze smutno pożegnali zorze...

* * *

Ale precz niemęzka skarga,
dumne oko nie zna łez,
nie zna jęku dumna warga,
wątpić — to kłaść czynom kres!

Myśmy pewni, że rój snów,
to nie próżnych marzeń czary,
ani obłęd młodych głów,
lecz koniecznej czucie wiary!

My wierzymy, że już wschodzi
Z nad chmur ciemnych świetne słońce
wśród błyskawicowych mgnień —
w purpurowych barw powodzi
płynie, płynie jaśniejące,
odrodzenia wiodąc dzień!

Z „HASEŁ“

HASŁO.

Co potem będzie, co nas to obchodzi,
byle to zniszczyć, co jest teraz złem;
jutro — pragnienia nowe światu zrodzi,
dzisiejszym żyjmy dniem!

Dzieło tworzenia po zniszczenia dziele
przyjdzie — — niech o niem utopiści śnią —
my, śnić nie mamy czasu, burzyciele,
dzisiejsze walim zło.

Jutro?... Ach, choćby z przyszłości odmętu
żaden świat lepszy nie wyłonił się:
my, pełni wzgardy, ohydy i wstrętu,
dzisiejsze niszczmy złe!

CIENIE.

We śnie widziałem je: z twarzą wybladłą,
strawione głodu palącą pożogą,
szły tłumy cieniów w dal bieżącą drogą —
ponure sennej myśli mej widziadło.

Po zgiętych z pracy barkach, dłoni czarnej,
poznałem je: to smutne cienie ludzi,
których do trudu świt półmroczny budzi,
a trudu kres dzwon wieści im cmentarny.

To cienie ludzi, którzy patrząc w słońce
modlą się, aby zagasło coprędzej,
bo tylko senni nie czują kłów nędzy —
i słońcu klną, gdy wita ich wschodzące.

Spytałem cieniów tych: „Dokąd wam droga,
losów przemocy nieszczęsne ofiary
i bezpraw ludzkich?...“ Odrzekły mi mary:
„Sprawiedliwości idziem szukać Boga...“

WODY.

Słyszycie, słyszycie tam w dole szum wód?
Od słońca śnieg stopniał, od słońca prysł lód,
i wody zbierają, przybędą już wnet,
wąwozy zaleją, przeskoczą gór grzbiet.

Moc wasza się na nic nie przyda tu wam,
te wody drwią z waszych kanałów i tam,
zgruchoczą, rozniosą, co stanie im wbrew —
słyszycie szum głuchy, powstańczy wód śpiew?

Nie łudźcie się próżno — — gdy runie ten prąd,
zatopi pod falą przestronny wasz ląd,
pochłonie zamczyska, pałace i was,
bez śladu zginiecie, przeminął wasz czas...

APOSTROFA.

Zaiste, zaiste!
Gdybyś z mogiły Twej mógł powstać, Chryste,
i mógł zobaczyć w co się obróciło
twe święte słowo.... Gdybyś mógł zobaczyć,
jak nieśmiertelne ziarno Twego ducha,
zmieniono w strawę zatrutą i zgniłą;
jak myśl Twą czystą umiano zsobaczyć;
jak Twa nauka stała się ochroną
złemu; jak z słów Twych nakuto ogniwa
do wiążącego tę siłę łańcucha,
co się w człowieku do prawdy wyrywa!
Gdybyś zobaczył tak strasznie zbrudzoną
Twą duszę dłońmi od miedzi brudnemi
wydartej nędzy przez moc i szalbierstwo;
gdybyś zobaczył to prawdy morderstwo,
ten fałsz i wyzysk: to gniewem i żalem
zdjęty, nie za sznur, jako w Jeruzalem,
ale byś chwycił za kamień ze ziemi!...

CZĘŚĆ PIĄTA

Z WŁOCH

DZWONY ŚW. PIOTRA W RZYMIE.

Za każdym grzmotem dzwonów, zda się, że wylata,
z kopuły huf aniołów w cztery strony świata,
a każdy, z wichrem włosów, w swej ręce olbrzyma
miecz płomienny, w źrenicach sto błyskawic
[trzyma,
i lecą... Ziemia gnie się.. Nad miasty i sioły
zawisają spiżową chmurą te anioły
i zda się, swoją straszną i ogromną mocą
słońce strącą gdzieś w przepaść i niebo zdru-
[zgocą!

W KAPLICY SYKSTYŃSKIEJ.

Ta ściana cała ryczy, jak bawół zraniony!
Ten Chrystus tam, jak piorun, z cyklopa ra-
[miony,
ta trupia głowa pełna boleści i jęku,
ten szturm klątew, rozpaczy, wściekłości i lęku,
farba zmieniona w kamień, pędzel w dłuto, siła,
co, zda się, góry pięścią na miał-by kruszyła!
Źrenice głuche patrzą z pod skostniałych po-
[wiek —
wulkan to chyba z siebie wyrzucił, nie człowiek.

SŁOŃCE.

Słońce! słońce! słońce! słońce!
Wszystko lśni się, świeci, pała,
złote iskry skaczą z morza,
złotem błyska mewa biała.

Złote smugi drżą po wodzie
aż po Capri, po Sorrento —
na słoneczny wiatr okrętów
białe żagle rozwinięto.

Na roztoczach morskich głębi,
na szmaragdach i błękitach,
fioletu ciemne plamy
w rozzłoconych lśnią prześwitach.

Wzgórz majaczą gięte łuki
przez przezroczą mgłę błękitną —
na ich stokach białe miasta,
jak kamelij ogród kwitną.

A tam w dali przezroczysto,
jak jezioro lśni się morze —
srebrno-białej gładkiej tafli
jeden wiatru smug nie porze.

Jaki spokój tam i cisza — —
zda się z głębi, od Sorrenta,
wyjdzie cicho z morza Wenus
naga, piękna, uśmiechnięta.

Wyjdzie cicho i z warkoczy
strząśnie wody krople lśniące —
świat się pławi w złotym blasku —
słońce! słońce! słońce! słońce!

CAPRI.

Zbiegłem do stóp skalistej wysepce — —
była cicha godzina poranna,
woda jasna, szafirowo-szklanna,
cicho dzwoni u brzegów i szepce.

Jeszcze, zda się, kołyszą się wianki
róż kwitnących w tej wodzie przezroczej,
które tutaj zrzuciły z warkoczy
przed wiekami cezarów kochanki.

Jeszcze, zda się, pierzchnąć nie zdołało
ich odbicie z kryształowej wody,
gdy się, chciwe swej własnej urody,
morzu piersią uśmiechały białą.

Jeszcze, zda się, w tej krainie czarów,
nad tą wodą szafirowo-szklanną,
w taką cichą godzinę poranną
słychać oddech kochanek cezarów.

NA CAPRI.

Z dwu stron wysepki szafir mórz
błyszczy się pianą;
różowe biegną stopy skał
w toń zwierciadlaną.

Na krzesanicy skalnej śpi
cień ciemno-siny;
wysoko w górze piętrzą się
jasne ruiny.

Ogromny, świetny słońca krąg
świeci w błękicie;
naokół pusto, pusto tak,
jak bywa życie.

W ZATOCE NEAPOLITAŃSKIEJ.

Srebrno-modra, jak metal błyszcząca,
nieskończonych wód powierzchnia leży:
słońce wsparło się o wodę blaskiem
i zasnęło w błękitnej bezbrzeży.

Jaka dziwna, jaka dziwna cisza,
jaki dziwny spokój w tej naturze...
Wszystko tonie: woda, ziemia, niebo
w przezroczystym, świetlistym lazurze.

W jeden lazur świat się zmienia cały,
cisza ziemi z senną nieba głuszą;
w jeden lazur świat zmieniony zda się
być swą własną zadumaną duszą.

POD PORTICI.

Szmaragdowe tafle szklanne,
monotonne, nieustanne,
w srebrną piętrzą się fontannę,
bijąc w brzeg
i rzucają dyamenty
promieniste na odmęty
i w promienne wiją skręty
kropel śnieg.

Wielki okręt port opływa,
falą modra, srebrnogrzywa,
idzie cicha i leniwa
za nim w ślad;
a gdy wiatr ją silniej trąca,
z głębin zrywa się do słońca
na kształt białych bielejąca
ptasich stad.

POD HERKULANEUM.

Od morza idą wielkie fale,
idą leniwo i omdlale,
niebieska woda u wybrzeża
w tuman się zpiętrza i rozśnieża
i z szumem kaskadami ciska
na szarych ruin rumowiska.

Różowiąc żagiel chwiejnej łodzi
w cień wysp i wzgórzy słońce schodzi,
na gór połogie senne grzbiety
złotawe mglą się fiolety,
a z nad zielonych winnic w górę
wulkan wyrzuca dymu chmurę.

Nad Sant'Angelo mgieł koronka
w nieba niezmierny błękit wsiąka,
nad skał rozdartych siwe pręgi
białych obłoków wiszą wstęgi,
i w dole, ledwo widne oku,
bieleją domy na gór stoku.

A wkoło ruin dawnych zwały,
mur zdruzgotany i zczerniały,
olbrzymie czarne głazy w wodzie,
lawa i pustka... Na zachodzie
słońce, co się powoli zniża,
zabłysło w chmurach na kształt krzyża.

Cichy, ogromny grób. Tam w głębi
życia się wieczny splot nie kłębi —
jak niegdyś lawa je zalała,
od wieków leżą martwe ciała,
których ztąd nigdy nikt nie ruszy —
strach w głąb tę schodzić ludzkiej duszy.

I serce bije jakąś trwogą,
gdy brzeg od fali drży pod nogą,
bo tam za każdym morza wbiegiem
drży może szkielet pod tym brzegiem
i w tej ponurej, stęgłej ziemi
w takt się porusza wraz z żywemi.

Cicho tu. Widma ciszy senne
zajęły pustki te kamienne;
siedzą wśród ciemnych cieni rumu
i fal słuchają morskich szumu
i wychylają ptasie twarze
patrzeć, kto idzie przez cmentarze?...

Może się trwożą ludzkim śmiechem,
weselem oczu — i z pośpiechem
kryją się w jamy, które drąży
woda, nim wzrok je ujrzeć zdąży,
a potem patrzą z skał parowu
skulone, czy jest cicho znowu?

I jak jaszczurki z swych komyszy,
wychodzą blade widma ciszy
i rozglądnąwszy się, znów w cieniach
ruin siadają na kamieniach
i patrzą w głuche, ciemne morze...
Ludzkie je szczęście trwoży może...

W SALERNEŃSKIEJ ZATOCE.

Gdyby to morze tam na dole nizko
i ta w słonecznych chmurach skał korona,
mogły dla duszy być wieczną kołyską...

Gdyby tam, wolna od złowrogich przeczuć,
od gorzkich smutków na wieki zwolniona,
mogła niepragnąć, niepamiętać, nieczuć...

Gdyby tu mogła, w tem błękitnem niebie
i w tem błękitnem morzu roztopiona,
zapomnieć ziemi i odnaleźć siebie...

O góry, niebo, o morze bezkresne!
Weźcie ją w swoje błękitne ramiona
jak dziecko w pustce błędne i bolesne ..

DZIECINNE WESTCHNIENIE.

Na niebie wielka pełnia złota,
błyskają ciche błyskawice;
na morzu złoty blask migota
i w lśniącą szerzy się ławicę.

W krąg światło, blaski — — Boże, Boże!
lampęś zawiesił na błękicie,
tak cudnie złocisz świat i morze,
gdybyś tak złocił nasze życie...

NA VIA CARACCIOLA.

Spokojnie szumi i łagodnie
uśpione morze. Noc nadchodzi.
Zdala czerwono, jak pochodnie,
kagańce lśnią rybackich łodzi.

Księżyc ze srebrnem wyszedł licem
i sieje blask na góry strome;
cyprysy srebrzą się księżycem
i palmy stoją nieruchome.

Senna na piersi spada głowa
i marzeń się owija tęczą,
mgławicą zadum się osnowa
i swoją przeszłość śni młodzieńczą.

I zapomina, że na czole
stanął jej w boju los zwycięzki;
traci z pamięci swoją dolę,
porywy swoje i swe klęski...

PIELGRZYM.

Gdziekolwiek zwrócę wzrok, wszędzie mi jedno —
na północ pójdę, czyli na południe:
wszędzie napotkam cień od spieki słońca
i znajdę studnię.

Wszędzie nad głową znajdę dach wśród nocy
i wszędzie mogę za grosz kupić chleba —
i nawet nie wiem, czego ludziom w życiu
więcej potrzeba?...

MEWY.

Te nad morzem obłąkane mewy
zdają mi się, jak myśli człowieka,
których w całem ludzkiem wielkiem życiu
nic nie wzywa, ani nic nie czeka...

MORZE.

Spokojne, nieskończone morze — —
wiatr je w faliste smugi orze,
z poza skrzesanej prosto skały
na słońce pędzi żagiel biały
i z za bezkresu wodnej toni
białych obłoków stada goni
i ku mnie po tym wód bezkresie,
prócz zapomnienia, wszystko niesie.

DYSKOBOL.

Tłum widzów. On spokojnym wzrokiem metę
[mierzy — —
wyprostował się, ramion wiązanie natężył,
głowę wzniósł, stopy w ziemię wrył, nogi naprężył,
w ręce trzyma dysk krągły — — wstał pierwszy
[z szermierzy.

Jeszcze chwila — kołysze dysk, zanim uderzy.
Wysunął lewe ramię, biodra, zda się, zwężył,
na prawej nodze całym ciężarem zaciężył —
rzuci — i laur zdobędzie znów na skronie świeży.

Na jego marmurowe, nagie, smukłe ciało,
oliwą namaszczone, złotawe, błyszczące:
pada greckie, promienne, uśmiechnięte słońce.

Przegiął się — dysk w stalowych palców ścisnął
[kleszcze — —
kobietom w białych piersiach serce bić przestało,
a boskie uda słodkie wstrząsają im dreszcze.

KALLIPIGOS.

Etruską wazę tknięciem czułej ręki
pieszcząc, lub w greckiej malowanej czary
wpatrzony Najad i Oread wdzięki,
nie czuł rozkoszy tej patrycyusz stary:

jaką uczuwa, kto z obsłony cieńkiej
odkrywszy światłu ciała twego czary
i dłonią pieszcząc kształt pełny i miękki,
wzrok poi olśnień boskiemi nektary.

Temu, co rzeźbił Wenus Pięknotyłą,
twoje się ciało przed wiekami śniło,
a nigdy przez liść blady róży białej

półton karminu nie przeświecał piękniej,
ni się czarowniej kiedy uśmiechały
dwa śnieżne wzgórki słońcu... Patrz — i klęknij.

DANAE TYCYANA.

Na miękkim puchu białego posłania
promienna cała od słońca pozłoty,
Danae, Zeusa spragniona pieszczoty,
z osłon swe ciało dziewicze odsłania.

Z niebios się ku niej świetlny obłok słania
i nagle deszcz zeń na nią spada złoty:
to Bóg, miłosnej czując żar tęsknoty,
zwisł nad cichego pełną pożądania.

Nagie jej ciało widzi i błękitu
jej wielkich cudnych źrenic blask przymglony,
senny, wśród boskiej rozkoszy zachwytu.

Przed złotym deszczem, od słonecznej strony,
u stóp jej białych, podobny do świtu
gdy dnieje: Amor uchodzi spłoniony.

POSĄG HERMESA.

Rzeźbiarz Hermesa posąg wykuł marmurowy,
w dłoń dał mu opleciony wężem posoch biały,
zaś do stóp mu przywiązał skrzydlate sandały
i dał mu uśmiech boski. W alei mirtowej

postawiono go na tle groty porfirowej,
zkąd się róże i laury ku niemu zwieszały;
i bóg, Argos pogromca, pełen świętej chwały,
zdał się śnić pod różami i laurem u głowy.

A co noc się mirtowe gałęzie rozchylą
z lekkim, cichym szelestem i pomiędzy róże
przegląda twarz — Olimpu bogom ukradziona...

Z pośród gęstwiny stopą wybiega motylą
dziewczyna — i objąwszy pierś boga w ramiona,
wrzące pragnienie gasi na zimnym marmurze.

W PESTUM.

Ruina. W dawnych bogów wstąpiłem świątynię
zdruzgotaną przez wieki. Kolumn szereg głuchy.
na posadzce mech, trawa, mleczów białe puchy —
cisza, zwykle w odwiecznej zaległa ruinie.

Bóg odszedł i zanurzył się w morskiej głębinie;
uniósł trójząb i chwałę. Zaginęły słuchy,
gdy z morza wstawał złoty wśród fal zawieruchy
i dziwił zadumane u krynic boginie.

U rydwanu mu cztery pędziły rumaki
siekąc kopytem tafle zielone odmętu,
rozwełnionemi grzywy skrzydlate, jak ptaki.

Morze grzmiało od kopyt srebrnego tętentu,
a w dali wodnych półbóstw płynęły orszaki
marmurowemu boga napatrzeć się świętu.

Z MORI.

Pusto... Wzgórz ciche, faliste kontury
niebieskim łukiem malują się w mroku:
księżyc, jak łabędź płynie srebrnopióry
po morzu nieba. Gdzieś nizko, na stoku,
w głębi wąwozu, co wpół przeciął skałę,
tam, od północy: jedna gwiazda złota
zdaleka, w ciemni, lśni się i migota...
Powietrze pachnie... Kwiaty wybujałe
na liście połysk księżycowy biorą
i rozłożyste ciemne cienie drzewne
majacząc w mroku, jak widma rozwiewne,
gdzieniegdzie świecą posrebrzaną korą.
Noc milczy — — zda się, serc usłyszę bicie,
serc choć najdalszych... Na ciemnym błękicie
owa mię gwiazda obraca ku sobie
z zarówno smutną, jak i nieodpartą
mocą kagańca na kochanki grobie — —
a jednak patrzeć na groby czy warto?...

POUR PASSER LE TEMPS
OKTAWĄ

Nigdy mu ramion pierwsza nie otwarła,
choć się łaskawie obejmować dała;
nigdy, gdy szepnął z ściśniętego gardła
»kocham« — nie rzekła nic, tylko słuchała.
Jemu się z bólu dusza w sztuki darła,
bo nic w niej znaleźć nie mógł oprócz ciała,
i to, co pomnieć musiał nieustannie,
o ile szukać wypadało w pannie.

Albowiem panną była, a za wiano,
prócz dwóch wsi, miała urodę Dyanny.
Młodzież w niej cała była zakochaną,
wszystkie jej równie nie cierpiały panny.
Rodziców dawno w grobie pochowano,
w klasztorze wiek swój przeżyła poranny,
gdzie się, w sekrecie przed swą przełożoną,
najczęściej w żonę i męża bawiono.

Potem, gdy suknię już zrzuciła krótką,
gdy się jej wiosna zaczęła siedmnasta,
w Warszawie z ciotką mieszkała rozwódką
i poznawała obyczaje miasta.

Była »naiwną« trochę i »filutką«,
lubiła jeszcze bardzo szczerze ciasta — —
tymczasem, jak jest powszechnie przyjętem,
posag jej gdzieś się zapodział ze szczętem.

Mówią, że jej opiekun kamienicę
i wioskę kupił gdzieś około Bałty...
Zwyczajna potwarz. Śliczną siostrzenicę
mając u siebie, ciotka jęła rauty
i bale dawać, różne tajemnice
toaletowe kłaść na różne kształty,
myśląc, i słusznie, że z jednego rożna
często pieczenie dwie zdjąć naraz można.

Miała trzydzieści pięć lat i Wilhelma
Kufkego — był to z zawodu piwowar —
na oku; wprawdzie »jak but była szelma«,
lecz sto tysięcy czysto niósł mu browar.
Eheu! Jak często człowiek próżny cel ma!
Kufke był kupcem i wiedział co towar,
a co tandeta — — oświadczył się wkrótce,
lecz siostrzenicy, nie ciotce-rozwódce.

Przyjęła... Próżno do nóg jej się ciskał
kochanek — — miał wieś, ale tylko jedną...
Prócz plam na spodniach, nic więcej nie zyskał;
widział, że nawet lica jej nie bledną,

gdy jemu w sztuki mózg pod czaszką pryskał
i gdy rękami cisnął głowę biedną...
Więc zrozpaczony poszedł precz, a ona
dostała swą rubrykę: Kufke-żona.

Po tym wypadku on zerwał ze światem
i cały chłopom oddał się u siebie.
Był im i ojcem zarazem i bratem,
bronił ich, karmił na swym własnym chlebie —
za to psu jego chłopi oczy batem
wybili, potem ukradli mu źrebię —
(psu, bo szedł drogą; źrebię, bo się dało) —
wreszcie spalili mu krescencyę całą.

To zniechęciło go i osiadł w mieście,
gdzie z artystami żył, bo lubił sztukę.
Jednego, rubli mu na miesiąc dwieście
dając, wyprawił do Włoch na naukę
Lecz nagle z banku pewnego w Tryeście
dano mu słodką do wypłat prynukę,
każąc zapłacić przez pozwy naglące
na sfałszowany podpis dwa tysiące.

To go zmieszało tak, że horoskopów
już nie pytając żadnych, co mu radzą:
wyrzekł się swojskich panien, sztuk i chłopów,
okno idei zasmarował sadzą,

jeszcze raz złotu przypatrzył się snopów,
jeszcze raz spojrzał, jak ziemniaki sadzą
i z swem ojczystem rozstawszy się polem,
zakupił willę gdzieś pod Neapolem.

Tę willę wielkim otoczył parkanem,
parkan zaś cały oplótł żywopłotem;
wewnątrz park kwieciem ustroił różanem,
pąsem kaktusów i pomarańcz złotem;
postawił namiot pod chłodnym platanem,
zawiesił miękki hamak pod namiotem,
i wodzie w lilie ubrawszy krawędzie,
flamingi na nią puścił i łabędzie.

W alejach parku, w cyprysowych cieniach,
rozstawił białe boginie kamienne;
na okwieconych stały podniesieniach
prześliczne, nagie, nieruchome, senne...
Srebrzyste w srebrnych księżyca promieniach,
w promiennej słońca jasności promienne,
na tle drzew ciemnych bieliły się cudnie
blade wśród nocy, świetlane w południe.

Z parku miał widok na morza błękity,
na ściany Capri, co się lśnią i bielą,
na Wezuwiusza płomieniste kity,
na w mgłach różanych widny Sant' Angelo — —

widok miał bardzo piękny i odkryty,
i nieraz siedząc nad morską topielą,
cieszył się, patrząc na przejrzysty lazur,
że żaden w parku tym nie bywa Mazur.

Miał także własną łódkę, którą czasem
płynął na morze, kiedy woda gładka
była tęczami świecącym atłasem.
Zawsze mew za nim leciała gromadka,
którym jeść rzucał, i nad wodą pasem
krążyły śnieżnym, że łódź jako chatka
zdała się polska pod gołębi sznurem,
jak łąk zielenią, oblana lazurem.

Tam na wznak leżąc ku niebu oczyma
nieraz dnie całe przepędzał samotnie,
myśląc, że przeszło lato, przyjdzie zima,
albo też myśląc to samo odwrotnie.
Myślał, że czego braknie, tego niéma,
że tysiąc razy znaczy tysiąckrotnie,
że fasolowy sos robi się z fasol
i że od deszczu ochrania parasol.

Czasem też bawił się wspomnień zabawą,
niejedną złoto- znał i czarno-brewą — —
z tych jedna miała pierś lewą i prawą,
a druga miała pierś prawą i lewą...

Tą przeżuwaną znudziwszy się strawą,
patrzał bezmyślnie za skrzydlatą mewą,
albo na nieba patrzał błękit czysty,
albo na spinek swoich ametysty.

A czasem leżąc w łodzi, mimowoli
wracał pamięcią w swoje dawne strony,
do swoich łanów i do swych topoli,
do swoich wiklin — i do Kufke-żony,
która tymczasem Kufkemu kark woli
obejmowała białemi ramiony...
Tak sądził, chwiejną kołysany łódką,
niewiedząc, że to trwało bardzo krótko...

I wyciągały mu się ku niej ręce
i pierś pękała z żalu i tęsknoty...
Widział jej usta krasne i dziewczęce
i szafir oczu raz srebrny, raz złoty...
Widział jej blade, przejrzyste rumieńce,
półciemnych włosów miękkie, bujne sploty
i urokami czarujące łono — —
i wkoło wodę pustą, nieskończoną...

Ogromną wodę, po której okręty
szły, białym żaglem świecąc się pod słońce;
przestwór niezmierny i nieogarnięty,
gdzie dusze smutne, błędne i tęskniące,

jako mar poczet włóczą się zaklęty
i bóle swoje i skargi palące
topią w bezdennej głuszy i otchłani,
idąc, jak ludzie z ojczyzny wygnani...

Pani Kufkowa wiedziała najpewniej,
że jest kochaną wciąż i bez pamięci
z wszystkiem, co dobre i wszystkiem, co złe w niej,
nawet myślała o tem nie bez chęci,
sądząc, że wielce się przez to »królewni«,
»anielkowuje«, podnosi i święci,
że przez Henryka, co gdzieś dla niej kona,
jest ponad wiele kobiet — wyróżniona.

W jej biurku leżał list. Miał z Bazylei
pieczęć, pisany być musiał w wagonie.
List ten brzmiał: »Pani! Więc reszta nadziei,
jak kamień w wodzie niezgłębionej tonie?!
Więc tak?! Huczące wśród śnieżnej zawiei
Alpy mi zdają się walić na skronie — —
więc tak?!... Napróżnom serce wydarł z piersi
i do nóg cisnął ci... Lecz czyż my pierwsi?...

I tylko nie wiem czemu w mojej duszy
jest ból, jak gdyby pierwszy ból na ziemi?
Czemu to serce tak się rwie i kruszy,
jakby wszystkiemi mękami ludzkiemi

cierpiało we mnie... Czemu tej katuszy
we mnie zwyczajna ta myśl nie oniemi,
że serca mrą z boleści, lecz powoli
zapominają o tem, co je boli?

Tylko w nich smutek pozostaje cichy
i dziwna smętność marzeń — — bo ja to wiem,
lecz dziś jest we mnie bunt i piekło pychy,
i żal, serdeczny żal... Ach! nie wypowiem
ile jest we mnie żalu.. Ot jak lichy
robak ci do nóg pełzłem — — życiem, zdrowiem,
krwią, mózgiem, sercem byłbym o twe szczęście
walczył... wolałaś z bogatszym zamężcie...

Ja sam już nawet nie wiem dobrze, kto to
bezmiłosiernie z mych rąk cię wyrywa?
Nic nie wiem, czuję tylko, że mię gniotą,
że jakaś krzywda mię łamie straszliwa,
że mi się serce bólem i tęsknotą
rwie, że z mych piersi krew ucieka żywa,
że... sam już nie wiem co piszę... pod czołem
wszystko mi nagle stało się popiołem.

Zrobiłaś duszę mą jedną ruiną
pełną strzaskanych kolumn, gruzu, łomu,
najświętszy ołtarz mój opluwałaś śliną,
z kraju wygnałaś mnie i z mego domu — —

wszystkie me czucia, wiedz, przez ciebie giną,
nie znam już prawdy, nie znam wstydu, sromu.
nie wiem, co żadne święte słowo znaczy,
nie znam na świecie nic — oprócz rozpaczy...

Jak pies u nóg twych chciałem leżeć, stopy
całować twoje i jeszcze to sobie
mieć za raj szczęścia... Dziś — — pół Europy
dzieli nas.. O ty!... Wszakżem twoje obie
ręce na szyi miał... Jak światła snopy
na łąkę lecą o porannej dobie:
tak mi z twych oczu szedł blask w głębię ducha...
Dziś co?... Ta pustka Alp dokoła głucha...

Pamiętasz? Nie raz to i nie dwa razy
mdlałaś w ramionach moich, o Irenko,
niezrozumiałe mi szepcąc wyrazy
i włosy moje plącząc drżącą ręką...
Chciałażeś tylko zmysłowej ekstazy?
Upojeń? Szału? Tak?... Ach! jeszcze miękką
twą kibić czuję tu, na mojem ręku
przegiętą, w włosów rozsypanych pęku...

I czuję ciepło twego ciała jeszcze,
ciepło twych westchnień i spojrzeń, o droga!
Jeszcze na rękach cię tu mam i pieszczę,
pieszczę, całuję... Na żywego Boga!

Jak ból to serce w rozpalone kleszcze
chwyta; jak burza grzmi po Alpach sroga,
jak się te góry po jeziorach dwoją:
tak ci przysięgam dziś, że będziesz moją!...„

Ten list rok leżał u pani Kufkowej
w biurku; przez ten czas Henryk na wsi bawił,
potem wyjechał, zaś ona miodowy
czas przepędzała w Nizzy, gdzie się pławił
pan Kufke w morzu i kwiatach. W okowy
Amor go srogie wziął i srodze dławił,
bo wśród akacyj chodząc i wśród bluszczu,
pan Kufke stracił dziesięć funtów tłuszczu.

A żona nie utyła... Rok upływa,
pani Irena jest zawsze powiewna...
Mówią, że trochę ma wstrętu do — — piwa...
Mówią — — lecz rzecz to nie jest wcale pewna..
Ludzka złośliwość jest taka złośliwa. .
Dość, że po świecie chodzi jak królewna,
a przy niej, kufa z piwem przy kolumnie,
jej mąż, pan Kufke, poważnie i dumnie.

(Miał sto tysięcy rocznie). Nieczytany
list leżał w biurku; lecz raz gdy na balet
mąż poszedł, ona swej garderobianej
chcąc wybrać jedną ze starych toalet,

w swym buduarze, w którym wszystkie ściany
świecą tęczami wachlarzów i palet,
otwarła biurko, gdzie kluczyki kładzie,
i list przypadkiem spostrzegła w szufladzie.

Wzięła i zbladła trochę i z powrotem
chciała położyć — wyjęła z koperty
i jęła czytać te słowa z łoskotem
wielkim pisane, bez logiki, *per ty*.
Zarumieniła się, znów zbladła, potem
zgarnąwszy nowych „Mód paryzkich“ sterty,
usiadła na fotelu z listem w ręku,
przegięta, w włosów rozsypanych pęku.

Siedziała długo, w tył schyliła głowę,
list na kolana padł, ręce jej zwisły;
przez twarz jej bladą szły ognie pąsowe
i pierś wznosiła się w sukni obcisłej.
Dreszcze ją jakieś wstrząsały nerwowe
i w oczach jakby dwie wielkie łzy błysły — —
przycięła usta i nogę za nogę
kładąc, westchnęła... List spadł na podłogę.

Siedziała długo. Wtem ozwał się dzwonek — —
drgnęła, wydęła usta marszcząc czoło
i list włożyła między stos koronek.
Mąż wrócił. Wyszła z twarzą niewesołą,

siadła do stołu i biorąc za trzonek
widelca, naprzód przyjrzała się wkoło
ścianom, obrazom, zwierciadłu, papudze,
a potem rzekła zwolna: „Ja się nudzę“.

„Nudzisz się żonko?! Mieć takie pokoje!
Nikt niema mebli ładniejszych w Warszawie!
Nudzisz się?!“ „Nudzę“. „Chcesz, to, serce moje,
nowe obicie do salonu sprawię?“
„Nie“. „No to może pojedziem oboje
naprzykład do Berlina? Nie? To wstawię
w twoją rubrykę — nie? To nie mam słów już —
cóż chcesz?“ „Chcę widzieć Baje i Wezuwiusz“.

„Baje? Lecz baja dawno jest niemodną,
nikt już nie nosi bai i — —“ Z pod oka
patrząc, Irena rzekła na to chłodno:
„Baje, to mężu jest morska zatoka,
nie sukno; chcę tam brać kuracyę wodną.
A zaś Wezuwiusz to góra wysoka,
wulkan, nad Neapolem. Pojedziemy?“
Mąż skinął głową czerwony i niemy.

Tymczasem Henryk znudził się w swej willi
i na operę poszedł: grano Mignon.
Wtem, gdy w antrakcie widze brawo bili
łaskawą darząc artystów opinią,

spojrzał do góry — i w tejże go chwili
dreszcz przebiegł: ujrzał za jakąś Wirginią
rzymską, cud — — chyba poszła za paradyz
Eunice — (czytał był właśnie Quo vadis).

Jak się zapoznał z niemi, mniejsza o to;
dość, że niedługo cudny skarb dziewczęcy
nabył od matki gotówką za złoto,
dając w ludwikach franków pięć tysięcy.
Dziewczyna poszła do willi z ochotą,
był to zaiste dla niej los książęcy,
a nadto matka ze stryjem Briganti
chcieli ją sprzedać w „Casa Fioravanti".

Viola poszła z domu z obcym panem
w brudnej sukience, w podartej koszuli;
tam wszystko było już przygotowanem,
kąpiel jej dali, odziali, obuli;
dali jej pokój zasłany dywanem,
mnóstwo batystów, koronek i tiuli,
kilka zwierciadeł, kanapę z poduszką,
dwa kandelabry i francuzkie łóżko.

Jedno zwierciadło miała z lewej strony,
drugie po prawej, trzecie u sufitu.
Tapicer nawet był tem zachwycony
i w sufit haki bił pełen zachwytu.

Miała też ganek na morze rzucony,
na wodę z różu, srekra i błękitu,
cichą, głęboką, pustą i niezmierną,
i w szafie Asti, Szampan i Falerno.

Było południe. Siedzieli oboje
w parku nad morzem. Jej płynęły z głowy
złotawych włosów wite w loki zwoje
na smukłych ramion kształt alabastrowy.
Nosiła w domu na pół greckie stroje,
które jej wdzięki kryły do połowy,
i teraz, w białej tuniki rozcięciu,
widać jej było białe biodro w zgięciu.

Na morze oczy obróciła duże,
łagodne, smętne, czyste oczy Psychy,
i wodząc niemi po złotym lazurze
miała w nich morza uśpionego cichy
błękitny uśmiech. W drobnej dłoni róże
trzymała, wielkie więdnące kielichy,
co miały w blasku więdnących szkarłatów
ten dziwny smutek konających kwiatów.

W białej tunice, w wianku róż na głowie,
z różami w dłoni, cicha, zamyślona,
była, jak Nimfy gdzieś w greckiej dąbrowie
zrodzone z baśni. A fala złocona

jej białe stopy brała za wezgłowie,
lub zawisała perłą u jej łona,
albo na róże i włos rozwinięty,
wielkie i jasne siała dyamenty.

Henryk ramieniem otoczył jej szyję,
lubieżną szyję marzącej Charyty,
i czuł jak serce u dziewczyny bije
w piersi okrągłej, pełnej, półodkrytej.
Ile się żaru pod tą piersią kryje,
wiedział i wiedział, jak jej ócz błękity
mdleją z pod powiek, gdy na pół zemdlona
w tył się przechyla, otwarłszy ramiona.

Przed niemi morze grało zmienną tęczą
przesrebrzanego w lazur fioletu,
pokryte gazą oparu pajęczą,
co od w łuk giętych gór modrego grzbietu,
hen, ponad siną zatoki obręczą,
wisiała drżąca, jakby dźwiękiem fletu
kędyś wśród laurów ukrytego Pana
w błękitne rytmy sennie kołysana.

Siedzieli cicho, wsłuchani w milczenie
odległych pustek, w bezmiar wód wpatrzeni,
samotni, cisi, bez ruchu, dwa cienie
wyszłe z cyprysów tajemnej zieleni.

Tylko swe zgodne jednotonne tchnienie
słyszeli, wzajem do się przytuleni.
Tej chwili Henryk z nad róży kielicha,
„*Verweile doch, du bist so schoen !...*“ rzekł z cicha.

„*Verweile doch!...*“ Poza nim cmentarz życia,
powiędłe myśli, albo wbite w błoto,
wszystko stracone i nic do zdobycia
i serce próżną stargane tęsknotą...
Przed nim?... Z przyszłości ciemnego ukrycia
jutro — twarz bladą śmiertelną martwotą
wychyla, widmo straszne i pokutne,
trwogę niosąc i jak trumna smutne.

„*Verweile doch!...*“ Bo oto wczesna idzie
starość i nędza ciała, co trupieje;
starość, w swej całej grozie i ohydzie,
starość, co lodem przerażenia wieje,
starość, kąpana w fizycznym bezwstydzie.
wstrętna, okropna; starość, która leje
na nędzne ciało ludzkie kubeł kału
i robi zgniłe próchno z „ideału“.

Starość, co łamie, druzgoce i depce,
starość, co nurzy w szpetności po uszy,
starość, co żywą krew po kropli chłepce,
starość, co serce zabija, mózg suszy,

starość, co pierwsza nad dzieckiem w kolebce
staje i krokiem się odeń nie ruszy
i jak śmierć za niem bezustannie chodzi — —
wybrańcy bogów umierają młodzi.

„*Verweile doch!...*“ Daremnie... Przeszła chwila,
przeszła i więcej nigdy nie powróci,
nigdy już więcej... Czuł, że się pochyla
w nim coś ku ziemi, zasępia i smuci.
Czar znikł, jak lotnych obłoków flotylla,
gdy je po morzu w nicość wiatr rozrzuci.
Zrozumiał, że w tej chwili do zenitu
doszło u niego uczucie dosytu.

Zrozumiał, że już więcej tu na ziemi
wydobyć nic już nie zdoła z użycia,
zanim go starość z szczękami trupiemi
chwyci, z ciemnego wypełzła ukrycia.
Tu, nad wodami siedząc błękitnemi,
swą najpiękniejszą miał godzinę życia,
pośród natury, jak cud, przy kobiecie,
jak wybujałe w słońcu polne kwiecie...

I wolnym ruchem wyjął z kamizelki
papierek, w którym nosił cyankali;
spojrzał — — na ręku miał zwitek niewielki — —
wzdrygnął się — — po tem już nic nie ocali —

jednak czy warto żyć bez żądzy wszelkiej,
bez pragnień, złudzeń, nadziei?... W oddali
zobaczył nagle w parku, wśród topoli,
panią Irenę, idącą powoli.

Pani Irena szła, a Henryk wstawał
nie będąc pewny, czy widzi na jawie,
czy też złudzenie go bierze na kawał,
i ambetuje, jak mówią w Warszawie?
Ona! Tak, ona! Czyżby nie poznawał?!
Ta sama gibkość i smukłość w postawie,
te same ruchy, rysy... Święte bogi!
Irena! Ona?... Zerwał się na nogi.

Wraz z nim zerwała się z ławki Viola,
która dotychczas patrzała na morze.
Stanęła smukła, gibka jak topola,
a na twarz wyszły jej rumieńców róże —
zażenowała ją szatek swawola,
które wiatr lekki podnosił ku górze,
więc się ogarnia rączkami, pół dzika,
pół przestraszona patrząc na Henryka.

Pani Irena stała blada cała —
w jej oczach tysiąc zaświeciło błysków,
zda się, że nagle na głaz skamieniała
i była, jak statua z wodotrysków,

albo monument .. List, który trzymała
w ręku, od palców kurczowych uścisków
zwinął się w biały, pomięty papilot —
a usta były jej, jak działa wylot,

dopóki lontu kanonier nie zniży...
Straszliwy otwór... Wtem krew jej na lice
buchnęła, o krok jeszcze przyszła bliżej
i na Henryka oczów błyskawice
zwracając, oczów, jak sierć kolcozwiérzy,
list odrzuciła precz na fal śnieżyce
i lady Makbet ruch z trzeciego aktu
czyniąc, przez zęby rzekła: »To pan tak tu?!...

To, gdy ja myślę, że pan schnie z żałoby
i o mnie tylko myśli, za mną jęczy,
pan tu z dziewczyną włoską?!... Boże! Ktoby
pomyślał?!... To ja!... A pan tu się wdzięczy
do jakiejś Włoszki! Ja... Nie! To wartoby
w powieść... Ja myślę, że on się tu męczy,
że on tu kona od przeszło dwunastu
miesięcy — — a on tu... *non! ça surpasse tout!*

Ha! to zaiste godne pana, w taki
ubliżyć sposób bezbronnej kobiecie!
Poznaję pana — — zawsześ pan jednaki —
nic się nie zmienia widać na tym świecie,

poznałabym cię wszędzie -- ach! te krzaki,
jeszcze się podrę gdzie! — postępujecie
zawsze jednako z nami — po tym kroku
pana poznałabym w największym tłoku!

Lecz teraz kwita z nami! Już na wieki!
Słyszysz pan? *C'est fini — fini à jamais!*
Je ne veux plus vous voir! Où suis-je? Chez qui?
W jakąż rozpusty straszną wpadłam jamę?!
Wyprowadź mnie pan ztąd! Ja bez opieki!
Mój mąż, ten bałw... to jest... Przez taką damę!
Przez taką... tak się dać skompromitować!
Non! C'est trop! Zaraz pan mnie ztąd wyprowadź!

Albo... ah! ah! ah!...» – krzyknęła i padła
prosto ku Henrykowi — ledwo złapał —
Viola na to patrzała pobladła,
a deszcz jej cichych kropel z sukni kapał,
wreszcie spytała, czyby prześcieradła
nie przynieść, widząc, że Henryk już sapał,
i położywszy tę signorę na niem
zanieść ją do pokoju przed skonaniem?

Henryk powoli przytomniał — -- na rękach
miał swoją dawną, kochaną, straconą,
dawną Irenkę o tych samych wdziękach,
które mu duszę czyniły szaloną;

włosy jej znowu rozsnuły się w pękach,
gdy przewiesiła w tył głowę zemdloną,
z pod gorsu piersi wyjrzały z ostrożna,
wstydliwie, jakby pytając, czy można?...

Na rękach czuł ją swych całą zwieszoną,
czuł ciepło ciała jej i jej oddechu,
przy piersi czuł jej falujące łono,
czuł krew tętniącą w jej żyłach w pośpiechu,
czuł swoją dawną, kochaną, straconą...
A ona zwolna, w smętnym półuśmiechu,
pół powiek wzniesie i pół ust rozchyli
zbladłych, podobnych pół rozwartej lilii —

i patrzy... Wszystko pierzchło mu z przed oczu,
cierpienia, męka, gniew i wszystko potem —
zanurzył palce w jej gęstym warkoczu,
co się pod słońca światło błyszczał złotem,
schylił twarz — — w oczu jej mglistem przezroczu
zadrgało światło — — nagle rąk mu splotem
objęła szyję — — i czoło im z czołem,
usta z ustami spoiły się społem...

Jak długo trwał ten czar — — któż takie chwile
liczy — — lecz nawet Henryk uczuł życie...
On, co przed chwilą chciał się skryć w mogile
przed nudą: tonął, jak chłopak, w zachwycie,

jak chłopak, gdy już poczuł się na sile
schwycić dziewczynę wpół w owsie, lub życie,
i w tył przegiąwszy nieledwie ku ziemi,
spoił jej usta z ustami swojemi.

O gdyby chwila pierwszego objęcia
mogła być wieczną!... Któż tego niepomni?
Te tajemnice, te nieznane wgięcia,
te skryte czary kształtów... Któż zapomni?
Pierwsze zbliżenie ust do ust dziewczęcia,
co oszaleni i unieprzytomni,
pierwsza płomienna rozkosz nocą późną...
„*Verweile doch! Du bist so schoen!*“... Napróżno...

FRAGMENTA Z DRAMATU

Scena przedstawia sad wiejski, we wsi podkrakowskiej, Wielka śliwa, pod którą stoi ławka darniowa. W głębi przez drzewa widać chałupy. W dali wsie, kościół, potem puszcza leśna.

WOJTEK (*siedzi na ławce darniowej pod śliwą*).

Cheba by mię od maleńka
bez ciemię bito,
bez ciemię bito,
zeby jo se nie doł rady
z kazdom kobiétą,
z kazdom kobiétą!
Cheba by mię od maleńka
tatuś nie bili,
tatuś nie bili:
zebym jo nie wiedzioł jako
powróz kręcili,
powróz kręcili...
E cóz to?

(*Wjeżdża konno Zawisza Czarny, zbroja czarna. Pawie pióra na hełmie, kopia, miecz, tarcza*).

ZAWISZA CZARNY.

Słuchaj chłopie: czy daleko do domu pana Mateusza z Góry?

WOJTEK.

Będzie trzy mile. Hań, za oną rzeką,
trzeba przejechać mocar, potem bory.

ZAWISZA (*odwraca się za siebie*).

Wytchniemy koniom.

(*Wchodzi Iwo. Zawisza zsiada, opiera kopię o drzewo. Iwo wyprowadza konia i wraca*).

WOJTEK (*patrząc za scenę*).

A cóż to za dziwo
pan wielkomozny po za sobom wiodom
z takom jak z ognia uplecionom brodom?

ZAWISZA (*do giermka*).

Pomóż książęciu zesiąść z konia, Iwo.

(*Do chłopa*).

Co to? To Bóg dał okazyę szczęśliwą
takie wam dziwo przywieźć, mości chłopie.

WOJTEK.

To Miemiec?

ZAWISZA (*naśladując go*).

Miemiec.

(Wchodzi Felsburg ze związanemi rękami, za nim Iwo).

WOJTEK.

A bez cóz w konopie
Związany? *(Do giermka)* Cy się ich miłoście bili?

ZAWISZA *(daje potakujący znak głową).*

WOJTEK.

Chłop ze z wos musi być, wielmozny panie,
kieście handrygę taką starmosili!
Ej ha! Ale obydwa? *(Giermek zaprzecza giestem)*
[Nie? Ej wiera!
To wos samego za chorągiew stanie!

ZAWISZA *(do Felsburga).*

Niech wasza miłość o pień się opiera
odpocząć nieco. *(Do Wojtka)* Pewnieście z tej
[wioski
kochany człeku? Jakże się wołacie?

WOJTEK.

Wojtek.

ZAWISZA.

A czyjżeś?

WOJTEK.

E ta naprzód Boski,
a potem ojców.

ZAWISZA (*śmieje się*).

Hahaha! Wybornie!
A macie wy tam co zjeść w waszej chacie?

WOJTEK.

E dy ta przecie dwadzieścia lat zyję,
kiedybym nie jod, tobym pewnie nie zył.

ZAWISZA.

Wesoły jesteś? Co?

WOJTEK.

Prosem pokornie —
jesce mię na mój pogrzyb nie prosili.

ZAWISZA.

No, na twe zdrowie chętnie co wypiję
i zjem co.

WOJTEK.

Jo téz niebedem nie wierzył
ze mi zycycie tego zdrowia scérze.
A téz wos prosem pięknie, moi mili,
jedźcie — chałupa stąd o dwa paciérze,
tam, pod tem drzewem, co widno, garbatem.

ZAWISZA

Nie, tu nam przynieś co. Idź z nim Iwonie.

(*Wojtek i Iwo wychodzą*).

Jakimż mi cudnym ten kraj pachnie kwiatem
Same mi idą do pacierza dłonie
i do podzięki, żem się już szczęśliwie
do kraju dostał.. Książę mię w podziwie,
znając nasz język, słuchasz... Ale, proszę,
spojrzyj dokoła... Gdzież masz takie zboża?
U was, nad Renem, winogrady w kosze
kładą, lecz patrzaj, czy tam u was zorza
ozłoci kiedy taki łan pszeniczny?
wyiskrzy kiedy takie kłosy żytnie?
Czy się tam habry mienią tak błękitnie
i róże mają taki zapach śliczny?
A przecie proste, polne... Taką puszczę
widziałeś kiedy? Kiedy psa w nią wpuszczę,
tur ci zaryczy w niej i żubr zahuczy
z długą do kolan, kędzierzawą brodą.
Nie wiem, czego się człowiek światem włóczy
mając tak cudny kraj... O polska cudna
wsi! którąm nieraz, nad Dunaju wodą
śnił, wsparłszy głowę na końskiej kulbace!
O wsi, wezoła, pełna gwaru, ludna,
piękniejsza, niźli weneckie pałace
i maurytańskie wierze... A dopiero,
książę von Felsburg, kiedy to zobaczysz
te krasne dziewki, a panny ze dworu!
Może się włoską nie zdobią manierą,

ani nie mają takiego poloru,
jakiś u dworek widział gdzieś paryzkich,
lecz się przekonasz i przyznać mi raczysz,
że u nas w Polsce niema drzwi tak nizkich,
zkądby ku tobie wychynąć niemogła
księżniczka, alboli królewna... Książę!
Prawica moja na polu cię zmogła,
mójeś, lecz pozwól, że cię z pęt rozwiążę.
Nie chcę, ażebyś do polskiego kraju
we smutku wjeżdżał i klnąc swoją dolę.

FELSBURG *(zdziwiony)*.

Takiego u nas niema obyczaju:
podług umowy wziąłeś mię w niewolę.

ZAWISZA.

Bóg dał, że przy twem siodle nie musiałem
jako niewolnik wchodzić w moją ziemię.

FELSBURG.

Sądząc po tobie i tym chłopie, plemię
wasze jest tęgie.

ZAWISZA.

I duchem i ciałem
Bóg nas opatrzył, to też da Bóg łaski,
niejedna wasza zbroja pryśnie w trzaski.

FELSBURG.

Albo też wasza.

ZAWISZA.

Ano, jak Bóg zdarzy.

(Przechodzą wieśniaczki — bije dzwon południowy na Anioł Pański — klękają).

O jak cudownie pochyliły głowy!
Dzwon parafialny oddzwania południe,
poklękły w zbożu, jak mak purpurowy,
i zrumieniły się głowami cudnie.
Dzwon parafialny w błękity wybija —
Zdrowaś Maryja... *(klęka na chwilę)*
(Wchodzi Hanka) Cóż to za cud Boży?
(Do Hanki) Daleko idziesz?

HANKA *(wskazując głową).*

A do tamtej chaty.

ZAWISZA.

To twój brat: Wojtek?

HANKA *(zdziwiona).*

A zkąd go pon znajom?

(Słychać śpiew daleki).

Mój. *(do dziewek)* Johymkowe dziéwcęta śpie-
[wajom.

(Przechodzą dziewczęta bokiem sceny — parę się zatrzymuje).

FELSBURG.

Dziewczęta iście podobne do róży.
W całem cesarstwie takich u nas niéma.

ZAWISZA *(z uśmiechem).*

Przy takiej ciepła w polu będzie zima.

WOJTEK *(wraca z Iwonem).*

Tatuś i mama pokornie wos prosom,
cobyście wstąpić racyli w ich progi
wielmozny panie. Przyjmiom was z rozkosom,
kazali piéknie podjąć was pod nogi.
A i téz bardzo prosom wos nieśmiele,
cobyście uccić racyli wesele
siostry najstarsej mojej, co się rano
po ślubie jutro zacnie. Kiebyście się
przespali u nas — momy świéze siano,
a potem dalej konik wos poniesie...
I tego Miemca téz weźcie ze sobom,
was cłek powiada, ze on nie jest niemy.
Uccijcie dom nas rycerskom osobom —

(Wskazując Hankę).

A to jest siostra moja Hanka.

ZAWISZA.

Wiemy.

(Zawisza do Felsburga).

Chłopi nas proszą do siebie w gościnę.
Pójdź ze mną, panie.

FELSBURG *(zdziwiony)*.

Chłopi? Niechaj zginę
jeżelim kiedy słyszał co równego!...
Służę ci, panie.

(Zawisza chce rozwiązać pęta, Felsburg cofa się zdziwiony).

ZAWISZA.

Proszę, proszę, książę —
słowo cię tylko twe rycerskie wiąże
i własne twoje przysięgi cię strzegą.
Iwo, poprowadź konie.

(Wychodzi Wojtek, Zawisza, Felsburg — dziewczęta zbliżają się do Iwona).

HANKA *(do Iwona)*.

A ten drugi
to co za jeden?

IWO.

To rycerz z cesarstwa.
Spotkał się z panem moim u granicy.

Jechał samotrzeć, mający dwa sługi.
Pełno się wszędy włóczy tego psiarstwa
z wstążką przez ramię, alko u przyłbicy,
a nazywają się błędni rycerze.
Mówił, że szukać u nas przygód jedzie.
Słowo do słowa, rękę sobie dali,
że kto drugiego z siodła na ziem zwali,
jak niewolnika z sobą go zabierze.
Mój pan, co pięścią obala niedźwiedzie,
ino mu pod bok raz przytknął kopiję —
patrzę: mój Niemiec już łbem ziemię ryje!

DZIEWKI (*śmieją się*).

Ha! ha! ha!

IWO.

Słudzy uciekli lasami,
a on tak w pętli drugi dzień już z nami
jedzie, a dobrze, że po polsku gada,
to się czas nie tak dłużył pustkowiami.

BRONKA.

A takom brodę mo, jakby u dziada,
ino ze młody i nie brzyćki.

MAGDA.

Ani!
Roz ino spojrzeć, znać ze oba pani!

IWO.

Mój pan się zowie Zawisza z Garbowa,
herbu Sulima, a od zbroi czarnej
zwany po dworach i zamkach Pan Czarny.

HANKA.

Z daleka jadom?

IWO.

Hej! Droga to zdrowa!
W Augsburgu pan mój zwalił śród areny
dwudziestu pięciu wybranych rycerzy.
Byli tam Włosi, Niemcy, Saraceny,
naród okrutny, co w Boga nie wierzy.

BRONKA *(zachwycona).*

O jej! I takim dał was panic rady?

MAGDA.

A po cóz oni sukali ś nim zwady?

IWO.

To nie są zwady żadne, to turnieje.

BRONKA.

Ej, to podobnie i u nas się dzieje
u króla w zamku; powiadał Zych z Błonia,
co słuzył panu z Kurozwęk do koni.

HANKA.

Pódźmy. Juz widzę bydło z pola goni
moja najmłodsa siostra. *(Do Iwa)* Biercie konia.
Bestyje całkiem obgryzły hań róże!

MAGDA.

A po co pan was jedzie tu?

IWO.

Ma w Górze,
u wojewody podjąć sumę pewną
złożoną mu tam w zapisie przez krewną.

(Słychać śpiew męzki):

Hejze ino haj!
Zieleni się gaj,
ej zieleni, zieleni pole!
Grajze skrzypku graj,
moje serce kraj,
hej na dolę, ej na niedolę...

(Z innej strony):

Dolo, dolo ty,
nie przepłacom łzy,
ani śmiech cię przetrzymać zdole...
Hejze ino haj,
zieleni się maj,
hej zieleni, zieleni, zieleni pole...

(Ten sam pejzaż. — Noc).

ZAWISZA *(pod śliwką, bez miecza).*

Jak mię ci ludzie dobrzy ugościli,
jaka w nich żyje szczerość i prostota — —
kiedy łuczywo w piecu zapalili,
to mi się chata wydała ze złota
od ognia, co bił płomieniami w górę
i świętych Pańskich wiszących na ścianie...
Ogromną rozpiął Bóg nade mną chmurę
gwiazd. Zda się złote nieba rusztowanie,
na którem legła kopuła niebiosów,
jak owe wielkie minarety wschodnie...
Słychać szum boru i szmer cichy kłosów —
lekki wiatr idzie i powietrze chłodnie...
Słodko mi będzie gdzieś na szopie kmiecej
rozkować zbroję i wyciągnąć członki,
nie w naddunajskiej niemieckiej fortecy,
albo węgierskim zamku... Kwiaty z łąki
pachną... Ktoś idzie... Kto to?

HANKA *(przechodzi mimo).*

To ja, panie.

ZAWISZA.

Kto? Córka? Hanka?

HANKA.

Tak.

ZAWISZA.

A gdzież ty, proszę,
idziesz tak późno? Co?

HANKA.

Zbiegło nam łoszę,
musiałam łapać. Jaze na polanie
pasło się. Z takiem to mitręgi tyle,
bo głupie.

ZAWISZA.

Usiądź tu przy mnie na chwilę.

HANKA.

Tatuś was panie w rękę całowali —
gdziez ja bym śmiała!...

ZAWISZA.

A tośmy wraz przecie
i wieczerzali i obiadowali.

HANKA.

E, to co inse...

ZAWISZA.

Siądźże — bodajże cię!
Nie inksze... Felsburg śpi? Ten rycerz cudzy?
A Iwo?

HANKA.

Śpi, hań, ka i nasi słudzy.

ZAWISZA.

Widzisz te gwiazdy swiecące na stropie?
Podoba ci się, co?

HANKA.

Podoba, panie.

ZAWISZA.

Cyt! Świerszcze polne poczęły śpiewanie...
A ty, Hanusiu, gdzie śpisz?

HANKA.

Zimom doma,
a teraz latem śpiem w sianie na sopie.
W zimie namości się w chałupie słoma,
legnem i śpiem.

ZAWISZA.

Jak cicho...

HANKA.

Cicho, panie,
jakby nad światem było podniesienie. *(Pauza)*.
Kiej ksiądz podniesie monstrancyom w kościele,
to się tak cicho robi. *(Wschodzi księżyc)*.

ZAWISZA.

Na sklepienie
wychodzi księżyc.

HANKA.

Cień się biały ściele
na drzewa. Strasno pojrzeć dookoła.

ZAWISZA.

Boisz się?

HANKA.

Ej nie, cegóz bym się bała?
Ale tam z rzéki to casem tak woła,
jakby kobiéta we wodzie jęcała,
a casem z lasu idzie takie wycie
jak wilce.

ZAWISZA.

Wilki.

HANKA.

O nie! Ozróżnicie
do razu wilcy głos. To som upiory
łakome na krew ludzkom. Stryk Jemioła,
co za leśnego jest u pana z Góry,
nieroz je widział.

ZAWISZA.

A to się kościoła
nieboją one czarty?

HANKA.

Kościół stoi
zamknięty, zreśtom ino cort się boi
kościoła; inksy duch, to tak jak ludzie,
i do kościoła nawet kie chce, pudzie.

ZAWISZA.

Poszłabyś teraz tam w tę puszczę ciemną?

HANKA.

Coby mię wilk zjod, abo złe porwało?
Nie posłabym tam za nic!

ZAWISZA.

No, a ze mną?

HANKA.

E, i wos panie na tę puscę mało,
chocieście tacy, jak pół dębu. Ale
spać się wom nie chce?

ZAWISZA.

Nie. Tak miło mi tu,
kiedy się patrzę tam na owe dale
zasiane zbożem; kiedy z wieży szczytu
kościelnej czasem błyśnie krzyż złocony,
a tu przy sobie polską mowę słyszę...

Trzy lata obce mię trzymały strony,
różnem narody miał za towarzysze
i różne mowy... Cóż ty przez dzień cały
robisz Hanusiu?

HANKA.

W lecie w polu robię,
a zimom płótna uprzędziemy sobie.
Przódziej my krowy ze siostrom pasały,
co się wydaje za Mikołajcyka.

ZAWISZA *(do siebie)*.

Ta prosta mowa jest mi jak muzyka
najcudowniejsza. *(Do Hanki)* A ciebie wydają
już gdzie za kogo?

HANKA.

Ciotka nom ta rają
Staska ze młyna, a i Zych z pod lasu
przychodzi do nos, ale ja ta casu
mom jesce pełne naramiącko. Wolę
tak, jako dziś jest. Wyjdę sobie w pole
kiej chcę, zaśpiéwom, nikt na mnie nie krzycy,
ani kutasków niémom przy spodnicy. *(Pauza)*
Jesce się tego dosyć nauzyję.

ZAWISZA.

A cóż ty lubisz najwięcej?

HANKA.

Kiej w zimie
ogień się wielgi zapali w kominie,
matusia płótno przędom, tatuś drzymie,
a nić się długa na wrzecionie wije:
to lubię słuchać bajek. Przyjdom ludzie,
to o przeróznych dziwach nom ugwarzą!
O Waligórze, takim wielkoludzie,
co najwyzsego drzewa sięgał twarzą!
O Wyrwidębie, co mu bywał bratem,
a pasał bydło topolowym batem.
Zacem o smoku gwarzą z pod Wawelu
i o tym Kraku, co go otruł siarką,
o pięknym Jasiu i lubcyku zielu,
i jako rycerz się jeden z mocarką
carnoksięznicom dopóty próbował,
aze się Panu Bogu poślubował
i wtedy zmógł jom. Takze prawiom ludzie
o górach Tatrach, co hań za borami
stojom, jak wielgie dzwonnice i domy.
Tam jest okrutna pustka i bezludzie,
kraj zarośnięty śniegiem i lodami,
drzewa tu nase przy hańtych jak słomy,
a nic nie rodzi się, ino kamienie.
Tam jest król węzów, w koronie ze złota,
z rogami z miedzi sarny i jelenie,
a kiedy spaść ma na doliny słota

i wielga powódź: to z za gór wychodzi
mnich, z światłem w ręku i nocą się włócy.
Tam ścięta głowa po polach się tocy,
abo po bagnach i mocarach brodzi
świécący okiem: A król węzów strzeze
skarbów ogromnych wraz z tą ściętą głową.
Mówiom, ze złota, co tam jest, połową
przysypać moznaby krakowską wiezę.
Ale tam strach iść, bo się król węzowy
broni tysiącem pysków, a kiej gwiźnie,
tysiąc mu węzów jak z pod ziemie bryźnie
i trzaby schodzić w okrutne parowy
i do przepaści, gdzie złe duchy siedzom.
Mówiom, ze mięso tam surowe jedzom
tamtejsi ludzie, ale ich jest mało,
bo kiej Tatarzy tu do Polski wpadli,
na deskach ludzi powiązanych kładli,
a komu głowy za deskę wystało,
ścinali równo. Są tam dwie wsie, zwane
jedna Ludzimierz od tego miérzania,
druga Krakusów *), bo usy urwane
zabitym tamoj licyli Tatary
od popółnocy jaze do świtania. *(Pauza).*
Kazdy cłek o tem opowiado stary,
a działo się to temu roków dwieście
za króla Leska.

*) Kraj usów.

ZAWISZA.

Gdy słucham, zda mi się,
że maurytańskie złocone powieście
są jak brząkania po cynowej misie
przy polskiej gęśli... *(Pauza).*

(Śpiew męzki zdaleka)

Hejze hejze haj!
Zieleni się gaj,
hej zieleni, zieleni pole...
Grajze skrzypku, graj,
moje serce kraj
hej przysło mi, ej na niedolę...
Nie rok i nie dwa
kochałem jak trza,
ej nie widziołem po za nią świata —
grajze skrzypku, graj,
zieleni się maj,
jaskółecka nad rzékom lata...

HANKA.

Koniuchy przy koniach
nucą, to pieśń się roznosi po błoniach
jakby jom gwiazdy siały... Miejcie panie
dobrą noc. Matuś w komorze na sianie
wam umościli...

ZAWISZA.

Dobranoc... Noc głucha...

Gdzieś tam na polu zawodzi koniucha
i lipy pachną... *(zasypia).*

(Zjawia się Wid).

WID.

(figura fantastyczna, długi czarny płaszcz — twarz mało widoczna — wieniec dębowy na głowie).

Bez trwogi i zmazy
o drzewo wsparty rycerz we śnie odpoczywa.
Marzą mu się wojenne, ogromne obrazy,
gdy sztandary, jak wicher, obala i zrywa
i nadczłowiecze rzeczy dokazuje mieczem.
Marzy mu się potomna, nieśmiertelna sława,
iż stanie się widzeniem jakiemś nadczłowieczem,
a imieniem swem wiarę stuleciom nadawa
i podawany bywa w pamięci, jak cudy.
Marzą mu się widziane miasta, morza, ludy,
królewny, co uśmiechy kopytom rumaka
podścielały jak dywan wzorzysty i wonny,
a jego koń unosił, jak wielkiego ptaka
i w snach królewskich świecił, jako posąg konny.

(Pauza).

Wieńcami laurowemi wieńczono mu czoło,
królowie nalewali mu cypryjskie wina. —
a oto zatrzymało go dziś polskie sioło
i do snu kołysała go wiejska dziewczyna

i lipy się ponad nim rozwoniły cudnie...
Księżyc wielki i złoty, jak słońce w południe,
nad głową jego stanął cichy i wspaniały,
jak tarcza Achillesa, pełna świętej chwały.

Pejzaż ten sam. — Dzień. — Chłopi, parobcy, baby, dziewki w weselnych strojach, Zawisza, Felsburg, Iwo, muzyka. — Ławy wyniesione przed dom. — Stoły z jedzeniem i napitkiem.

ZAWISZA *(siedzi na ławie)*.

Książę von Felsburg, czy widziałeś kiedy
u was nad Renem podobną ochotę?
A co za chłopy pośród tej czeredy!
Tylko ich ubrać w miedź i hełmy złote!
A dziewki! Na cześć rycerską! Niech zginę
jeżelim widział piękniejsze w Prowancyi,
kiedy jechałem na dwór do Madrytu,
choć mówią, że tam najpiękniejsze Francyi
rodzą się dziewki. Nawet niechaj mi tu
przez całą włoską wielbione krainę
owe pięknością sławne Wenecyanki
przywiodą: nie dam za nie naszej Hanki
albo Maryśki!

GOSPODARZ OJCIEC WOJTKA *(do Zawiszy)*.

Pijcie, jasny panie!
Dla takich gości miodu zawse stanie,
choćby się pscoły miały wściec od prace!

MATKA WOJTKĄ *(do Zawiszy).*

Prosem, ich miłość racom na kołace.

ZAWISZA.

Ha ha! Miód idzie od nóg aż do głowy!
Ja sambym w tańcu wyskoczyć gotowy!
A wasza Hanka, jak łania, jak sarna!

GOSPODARZ *(uradowany).*

Mówiom ta ludzie, ze dziewcyna śwarna...

STARY CHŁOP *(śpiewa).*

Kiedy ci się spodobała Hanka Maćkowa,
Zatańcujze s nami razem, panie z Garbowa

ZAWISZA *(śmieje się).*

Ha ha ha! *(Do Felsburga)* Słyszysz, co śpiewają? życzą,
ażebym w pląsy poszedł z nimi razem!

FELSBURG *(zgorszony).*

Szanujże, panie, waszą cześć zwierzchniczą
i pasowanie rycerskim żelazem...
Z chłopami tańczyć!...

ZAWISZA *(zniecierpliwiony).*

Ej, godny rycerzu!
Czym prawy rycerz, na swoim pancerzu
masz wypisane! Hej! Miodu mi szklankę!

(Bierze Hankę do tańca).

MATKA *(do ciotki uradowana i zachwycona).*

O rety! Rycerz ujon nasąm Hankę!

ZAWISZA *(przed muzyką z Hanką).*

Kiedym ujon, trzymał będę,
kiem podskocył, nieusiędę!

CHŁOPI *uradowani.)*

ej ha!...

(Zawisza tańczy).

CZAJA.

Jako się pon rycerz obraca!

MATKA.

A nasa Hanka przy nim lalka! caca!...

(STARY CHŁOP *śpiewa.)*

Kto ci będzie trzymoł do krztu, kto będzie niańcył,
kiedy u nos pon z Garbowa s tobom zatańcył?...

*(*CHŁOPI *śmieją się).*

Haha! Hahaha!

(MATKA *śmieje się.)*

Stary zbereźniku!...

KRUŻEL *(pijany do Felsburga).*

Nie potańcujes wroz s nami, Miemcyku?

FELSBURG *(oburzony).*

Precz! Ty kanalio!

KRUŻEL.

Cóz się pon tak sierdzom?
Wąchajciez psa w nos, kie wom chłopy śmierdzom!
(Odchodzi).

(Zawisza siada. — Zbliża się Czaja).

CZAJA *(z oracyą).*

Niech się ich miłość nie obrazi. Scytu
Maciek Rudawski dostąpił zascytu,
zeście racyli, panie kaśtelanie,
do tańca powieść jego córkę Hanię,
ani to nie jest, panie wojewodo,
wasej ślacheckiej cnocie z zadną skodą
i — —

STARY CHŁOP *(przerywa).*

Ani rok, ani dwa,
zrobiom troje obydwa!

CZAJA *(do starego chłopa).*

Cichaj! Bez to — —

KLINIEC *(wyrywa się z oracyą).*

Kuba, pockoj! Mości
rycyrzu! My tu, chocioz ludzie prości
i nieuceni...

CZAJA.

Pockojze! Niech skońcę!
(Mówi) Jako to ano świecące nom słońce,
abo te gwiazdy, co jak złotom kasę,
nosioł je Pon Bóg nad chałupy nase:
tak...

KLINIEC.

Co ta bedzies jegomości prawił
o gwiazdach! Panie wielkomozny! Wstawił
roz święty Pieter...

(Występuje z puharkiem Klima).

GOSPODARZ.

A kiz wos ta licho!
Cózeście tacy do gęby zawzięci!
Klima chcąm mówić!

CHŁOPI.

Cichojcie ta! Cicho!
Cichojcie wsyćka, kaj jacy jezdeście!

KLIMA *(mówi poważnie, powoli, z godnością).*

Wielmozny Panie z Garbowa! Izeście
nie pogardzili nami, ale z chęci
na te weselne gody przybyć chcieli,
a kołac-eście i miodu przyjęli:
pięknie kłaniamy się i ik miłości
dziękujem z duse. — Jako onych gości
ojciec Piast witoł we wiśniowym sadzie
cém miał w kómorze i w izbie podręcnem:
tak my wos sercem tu witomy wdzięcnem
i radość z tego jest w całej gromadzie.
Ale jako my wos, wielmozny panie,
w ucceniu momy: przez urazy wasej
i sami nienojzgorsi. Po wse casy
za wolom Boskom, z dziada i pradziada
na Radolinie siedzom Radolanie,
jako to mówiom: kiedy drzewo pada,
na jednych lasach rosnąm drugie lasy.
To téz nie będzie wom za wstydem s nami
grzecnie uciesyć się i z dzieuchami,
potańcyć, a choć som by wos uźreli
król: policka wom nie zakwitną panie,
bo jako my som z ojców Radolanie,
tako i one są nie od macochy,
lec ojcowicki godne, jak janieli
cyste i bogobojne, a kaj matki
nos porodziły i kaj dziadów prochy

lezom: tam i nos przyjmie ziemia święta.
A dzięka Bogu som wselkie dostatki
aby i takie ugościć panięta,
skoro po barciach Bóg nom pscoły chowa,
owsa i chmielu na piwo nagodził
i na kołace psenice narodził.
A wy ta wsyćka co słuchocie, w próżny
ponaliwojcie se kubek, na zdrowie
wypić dziś pana dziedzica z Garbowa!
Zdrowie do wos, panie wielkomozny!

(Trąca się z Zawiszą kubkiem).

ZAWISZA *(wzruszony).*

Kochani ludzie! Na podziękowanie!
Jako wspólnego nam wszystkim pradziada
Piasta: niechaj was strzegą aniołowie!
Niech się wam darzą pszenice na łanie,
niech się wam rodzi owies, mnożą stada,
a Bóg twarz ku wam dobrotliwą chyli!
Z serca dziękuję wszystkim, moi mili!
Ja, pan z Garbowa, rycerz, co na dworze
cesarskim wchodzę, kiedy drzwi otworzę,
którym z królewien i księżniczek ręki
w szrankach brał wieńce, podarki i dzięki,
którego znają hiszpańcy królowie
i doża włoski: piję wasze zdrowie!... *(Pije)*

CHŁOPI *(krzyczą).*

Huha!... *(Muzyka gra).*

ZAWISZA.

A teraz jeszcze, zanim w drogę ruszę,
pani wójtowo — pójdźcie ze mną w koło!
Kiedy wesoło, niech będzie wesoło!
Graj nam, muzyko! Hej, na moją duszę!
(Tańczy z wójtową. Chłopi za nim).

CZAJA.

Jak się pon ślachcic rozochocił s nami!

KLINIEC.

Jaz iskry krzese z ziemie podkówkami!

AGATA.

Wójtowo kieby do niebiosów wzięta!

KORDULA.

Do śmierci to to wesele spamięta!

STARY CHŁOP *(śpiewa).*

Obracoj się, obracoj się pani wójtowa,
a ty za niom, a ty za niom, panie z Garbowa

KRUŻEL (*śpiewa*).

Pojdzie o tém głos séroki z wioski do wioski,
ze tu tańcył razem s nami dziedzic garbowski!

CHŁOPI I BABY.

Huha!

Scena przedstawia się z arkadami otwartemi na powietrze, na arkadach duży balkon, tak długi, jak cała sala na dole. Schody po lewej ręce od widza prowadzą z balkonu na dół za sceną, tak, że ich z widowni nie widać. Sala na dole zastawiona stołami przygotowanemi do uczty. Do sali prowadzą dwa główne wejścia: z lewej od widza, którędy zejdzie z balkonu Zawisza; z prawej, którem wejdzie wojewoda z gośćmi. Rodzina wojewody w końcu aktu również wchodzi od prawej. Pora późnego wieczoru.

Na balkonie.

DWINA, ZAWISZA *(Dwina siedzi w tył przechylona na ławce. Zawisza stoi).*

DWINA.

Przecież przyszedłeś?

ZAWISZA.

Alboś mnie czekała?

DWINA.

Nie widzisz, żem jest jako płomień cała?

ZAWISZA *(drwiąco).*

Dziwne, bo wieczór dosyć chłodny dzisia.

DWINA.

A w tobie krew jest, czy woda?!

ZAWISZA.

Jak komu.

DWINA.

Ale jest we mnie chciwość krwi tygrysia!

ZAWISZA.

Ale, tak sądzę trochę mało sromu.

DWINA.

Co mi srom, gdy mi żar piersi rozsadza!

ZAWISZA.

Ale jest w ludziach nad krwią duszna władza.

DWINA.

Czy ty nie widzisz, nie widzisz, nie widzisz,
że jam jest cała ogniem, burzą, szałem?!
Nie bije w ciebie ma krew? Krwi mej wary
nie rozpalają ci żył na czerwono,
nie biją w ciebie, że ty tylko szydzisz?!
Że ci się lica młode nie czerwienią?!
Nie słucha! Szydzi! Moich słów szalonych
i moich oczu szalonych nie słucha!...
Stoi, jak gdyby urzekły Marzanną — —

słuchaj! Nie przyjdzie tu nikt! niema ducha!
Pójdź!... Tu na ławie legnę ci — i niechaj
grom potem we mnie trzaśnie!

. . . . . .

Nogi okręcę ci warkoczy splotem,
ramiony, jako warkoczem owinę!
Twojam ja! Twoja! Twoja!

ZAWISZA.

Szalenico!
Nie wiesz, że kocham twoją siostrę Ewkę?
I cóż ty myślisz, że będę w gościnie
komuś uwodził w ganku głupią dziewkę?!
Niechaj mię pierwej szatani pochwycą!
Niech moje imię bez pamięci zginie! *(Wychodzi).*

WOJEWODZINA *(wchodzi).*

Czegóż ty płaczesz, głupia?

DWINA.

Matko! Matko.
Kocham go! kocham! i od przytomności
odchodzę z żądzy, z pragnienia, z miłości!

WOJEWODZINA.

Któż to cię złowił Amorową siatką?

DWINA.

Zawiszę kocham!

WOJEWODZINA *(zdziwiona).*

Zawiszę? Dla Boga!
Panu Zawiszy z Garbowa zbyt droga
Dwina Górzanka! Za daleka droga!
Ewa... no, rycerz, chociaż z mniejszej szlachty,
tylu zwycięztwy po świecie wsławiony —
ale ty, Dwino! górna Dwino! Ach! ty
warta książęcej, królewskiej korony!
I nie rozumiem, bo Zawisza wczora
o rękę Ewy prosił?

DWINA.

On też Ewę
kocha — a jam jest od kochania chora,
a mnie jest, jakby kto pod skrzydło mewę
ugodził strzałą, jakby kto podpalił
kwitnącą jabłoń... On mną wzgardził, matko!
Jużby sam czart się nademną użalił,
a ty tak patrzysz zimno?!

WOJEWODZINA

Jakto? Gładką
ty pochyliłaś tu twarz przed Zawiszą,
a tam już układ ślubny dla was piszą
z książęcą w dole przysięgi pieczęcią?!

DWINA *(zdziwiona).*

Co mówisz, matko?!

WOJEWODZINA.

To, że Felsburg książę
z tobą się węzłem małżeńskim powiąże
i będzie królem przy Boskiej pomocy!
Dziś tu przyjeżdża mój brat Wszebór z pięcią
synami; Lutych, Jarosław z Zaprocy
i mnogo innych. A już niedaleko
giermkowie księcia, co byli uciekli,
dość znaczny poczet z Niemiec tu przywlekli,
aby go odbić Zawiszy. Nad rzeką
stoją w przylaskach. Są tam i Krzyżowi,
których spotkali oddział. Książę gościem
bywał w Malborgu. Szybko więc urościem
w potęgę zdolną dać szacha królowi.
Albowiem spisek na Jagiełły głowę
ułożon córko. Z Wielkopolanami
z walą go ztronu. Książę Felsburg swoje
z Niemiec przywiedzie wojska i krzyżowe,
które w Krakowie na Zamku osiedli.
Witołd niechybnie połączy się z nami!
Mieli małmazyę pić — proch będą jedli!
A ty — na tronie z księciem!

DWINA.

Matko! Stoję
jako zalśniona nocną błyskawicą!
To sen! Twój, czy mój matko?! To szaleństwo!

WOJEWODZINA.

Dowiesz się, kiedy za rękę cię schwycą
i księciu oddać powiodą panieństwo.

DWINA.

Matko! Na Boga! Tożby prawda była?!
Ja... żoną króla?!

. . . . . .

WOJEWODA *(wchodzi)*.

Czy wszystko w kuchni gotowe na dole?

WOJEWODZINA.

Wszystko.

WOJEWODA.

Wdziej szaty świąteczne Jadwidze,
także tę kapę bramowaną, białą,
i oczekujcie w słuchu na mą wolę,
gdybym was wezwać kazał. Wino w kadzi
czy stoi?

WOJEWODZINA.

Stoi.

WOJEWODA.

Rozkaz daj czeladzi,
aby pochodnie miała w pogotowiu
i smolne wiechy niech u bramy wiszą.

Noc ciemna, chociaż księżyc nie na nowiu
i niebo chmurne.

WOJEWODZINA.

Ale cóż z Zawiszą?
Jakoż mu się to wytłomaczyć zdoła,
że go na taką ucztę się nie woła?

WOJEWODA.

Zawiszy pewny nie jestem, jako wiesz.
Nie broń mu z Ewą bawić się — przeciwnie!
Na to ja liczę: im więcej rozgorze,
tem skorzej pójdzie mi na rękę. Powiesz
Ewusi, że dziś, ile jej się żywnie
podoba, bawić ze Zawiszą może.
Gdyby przypadkiem zaś zeszedł do sali,
powiem wprost, że my go nie zawołali,
nie będąc pewni.

WOJEWODZINA.

A jeśli nie zechce?

WOJEWODA.

Chłop młody! Dziewka po nozdrzach go łechce,
a co mu tam król z Niemiec, albo z Litwy?!
Zawszeć mieć będzie szranki na gonitwy
i dank do wzięcia.

. . . . . .

ZAWISZA.

I jacyż to, proszę.
przybędą tutaj dzisiaj przyjaciele?
Bo jeśli sobie nie pochlebiam, wnoszę,
że i ja prawo mam liczyć się ku nim?

EWA.

Nie wiem, lecz mamę widziałam dziś w kunim
błamie, co pewnie znaczy jakieś święto.
Jadwidze także suknię odwinięto
Świąteczną z płótna.

ZAWISZA.

Hm, dziwne to rzeczy...
A tobież w nic się ubrać nie kazano?

EWA.

Nie.

ZAWISZA.

Hm, hm... dziwne... I mnie nie wołano,
choć przecie mam być zięciem wojewody
i praw gościnnych nikt mi nie zaprzeczy...
Cóż to za takie tajne będą gody,
że je okrywa nocy tajemnica?

(Słychać za sceną hałas).

EWA.

Słyszycie? Goście w izbie.

ZAWISZA *(wybucha).*

Niechta będą!
Snać mię tu znają jakowymś przybłędą,
jakowymś powsinogą, włóczykijem,
znajdą, oparzypiętą, drogobijem,
i do kaduka!... Przabacz mi! Gdzieś może
w jakowym innym zamku, albo dworze *(unosi się)*
zeszedłbym na dół spytać, przecz nia pisze
pisarz w huf gości Czarnego Zawisze?
I!... Daruj, proszę! Na gniew mójeś siadła,
jak na rumaka i trzymasz wędzidłem.
Co mi tam! Otby chwila się ukradła
rozmowy cichej pod anielskiem skrzydłem.
Niechaj tam mówią, co im ślina niesie,
niechaj wymyślą, co im niebo zdarzy,
niech duma ludzka pod obłoki pnie się
i niech się siła pod chmury mocarzy:
ja im nie zajrzę!

. . . . . .

Ty patrzysz na mnie, w moją duszę, Boże!
Ile tą moją ręką nieudolną,
ile tem słabem potrafię ramieniem,
ile mym bólem zdołam, mem cierpieniem,
ile krwią moją, śmiercią, gdy potrzeba:

tyle dla Ciebie uczynię z podzięki
tylko Ty ku niej nachyl swego nieba!

(Całuje jej kraj sukni).

EWA *(cofa się).*

Ach! nie całujcież mi przecie sukienki!...

(Śpiew męski zza zamku zdaleka).

Hejze, hejze haj!
Zieleni się maj,
hej zieleni, zieleni pole...
Grajze skrzypku, graj,
moje serce kraj,
hej przysło mi ej! na niedolę...

ZAWISZA.

Jaka pieśń smutna.

EWA.

Koniuchy od stada
głos rozpuszczają zawsze nocną porą.
Patrz — tam ich ognie ponad Wisłą gorą.

ZAWISZA.

Jakiś mi smutek dziwny na pierś spada
i jako kamień przytłacza mnie...

EWA *(serdecznie)*

Proszę
Niechaj ja, panie, zeń połowę noszę!

ZAWISZA.

Kwiatuszku złoty!

EWA *(z miłością)*.

To mnie panie weźcie
i gdzie przypnijcie na pierś, albo ramię.

ZAWISZA.

Pieścidło moje! Pieścidło niewieście!
Za co też Pan Bóg w łasce wejrzał na mię?

EWA.

Luty rycerzu!

ZAWISZA.

Słoneczko kochane!

EWA.

Czarny Zawiszo!

ZAWISZA.

Kwiaty malowane!

EWA.

Mój, mój jedyny!

ZAWISZA.

Sznurze pereł drogich!

EWA.

Bogactwo moje!

ZAWISZA.

Skarbnico ubogich!

EWA *(spuszczając głowę).*

Kocham was, panie...

ZAWISZA *(wybucha).*

O moje dyamenty!
Jakże mię kochasz?!

EWA.

Takiście mi święty,
jak święty Jerzy w obrazku na murze
w kaplicy naszej.

ZAWISZA.

O lilie! O róże!
A ja cię kocham jak światła niebieskie!
Więcej niż sławę, niż danki królewskie,
więcej, niż miecz mój we krwi hartowany!
I tak, jak zboże, uzłoci się życie...

(Hałas gwałtowny — szczęk broni na dole za sceną).

EWA *(z trwogą).*

Co to?! Szczęk broni?! Panie, czy słyszycie?

ZAWISZA.

Słyszę!

EWA.

Coś stało się na dole w sali!

WOJEWODA *(krzyczy za sceną).*

W łeb młotem — i niech do Wisły się wali
Z muru!

(Zawisza i Ewa słyszą widocznie tylko głos, nie rozróżniając wyrazów).

EWA.

Przez Boga! Głos ojca!...

ZBĄZKI *(za sceną).*

Na rany
Chrystusa! Syn mój!...

ZAWISZA.

Idę! Tam się broni
ktoś od przemocy próżno!

EWA.

Czekaj! broni
niemasz przy sobie!

ZAWISZA.

Mniejsza...

EWA.

Błagam! Czekaj!
Miecz ci przyniosę.

ZAWISZA

Stoi tam — przy ścianie.

(Ewa podaje Zawiszy miecz i wychodzi za scenę, spojrzawszy za nim. — Zawisza idzie przez cały balkon ku schodom za sceną po przeciwnej stronie, gdzie się z Ewą znajdował. Musi to trwać tak długo, aż się poniżej nakreślona rozmowa do ukazania się Zawiszy skończy. — Zza sceny do dolnej sali wtłacza się tłum, wojewoda, Felsburg, Barber, Zbązki trzymany przez dwóch hajduków, magnaci, szlachta, dworzanie, trabanci).

ZBĄZKI *(wyrywając się).*

Puśćcie mnie, puśćcie!... Na ukrzyżowanie
Chrystusa puśćcie! Boże mój!...

KSIĄDZ BARBER.

Milcz starcze!
W gardło mu wgniećcie szczekanie potwarcze!
Kościelnej sukni bluźni!

WOJEWODA *(do Zbązkiego).*

Milcz! Nie szczekaj!
Bo ci rękojeść wtłoczyć w usta każę,
alboć syn drogę do Wisły pokaże!

(Hajducy puszczają Zbązkiego).

KSIĄDZ BARBER *(do Zbązkiego).*

To się więc, łotry, zdradą u was zowie
bronić religii świętej!

ZBĄZKI.

Ja w tej zmowie
Widzę zagubę kraju!... *(łamie ręce)*
[Syn mój zginął!...

FELSBURG *(drwiąc).*

Tłusty był — wierzchem po Wiśle popłynął.

ZBĄZKI.

Ja przy Jagielle stoję! Niech za synem
rzucą mnie w Wisłę!

KSIĄDZ BARBER.

Trzymaj z poganinem,
a czart niechybnie z tobą trzymać będzie!

WOJEWODA *(pogardliwie).*

Panowie Zbązcy — patrz, jacy mi sędzie!

(Do hajduków):
Wywlec go z izby!

(Do Zbązkiego) Nie ujdziesz bezkarny!

(Hajducy wywlekają Zbązkiego).

(Wchodzi Zawisza w płaszczu, z mieczem i staje z boku. Wywlekanego starca nie widzi za tłumem szlachty).

FELSBURG *(do wojewody).*
Trzeba mu uciąć łeb!

WOJEWODA.
Schowam go w lochu.
Nie trzeba zbytnio rozdrażniać motłochu.
Może się później też zdać... Jaki parny
dziś wieczór... Może zdać się dla przykładu.
(Robi giest ścięcia).
(Przechodzą w stronę Zawiszy wojewoda, Barber i Felsburg).

KSIĄDZ BARBER *(spostrzegłszy Zawiszę).*
Ktoś tu wszedł!

WOJEWODA *(do Zawiszy).*
Ktoś ty? Mów!

ZAWISZA *(spokojnie).*

Zawisza Czarny.

(Wszyscy cofają się).

Przecz tak ucichło?... Słyszałem krzyk z góry,
zszedłem ratować... Przecz-że wojewodo,
gdy od dwóch tydźni z tobą do obiadu
siadam i wziąć mnie raczyliście zięciem,
tajemnie gości spraszacie w te mury
i zatajone narady się wiodą
nad jakiemś strasznem, widzę, przedsięwzięciem,
skoro słyszałem śmiertelne wołanie
i krzyk rozpaczy... Nie puszczajcie, panie,
gniewu waszego i raczcie wybaczyć,
że się was spytać pokornie ośmielę,
w jakiemś ogromnem, jako widzę, dziele,
żeście minęli mnie: co to ma znaczyć?

WOJEWODA *(gwałtownie).*

Kochasz ty Ewkę?

ZAWISZA *(spokojnie).*

Jak własną źrenicę.

Lecz przecz pytanie?

WOJEWODA *(chwyta krucyfiks).*

To na ten, co chwycę
krucyfiks teraz z Chrystusem ze stołu,
przysiąż, że z nami pójdziesz w czyn pospołu!

ZAWISZA *(j. w.).*

Kocham twą córkę, ale więcej od niej
kocham cześć moją, mój honor rycerza.
Jeśliby jakiej żądaliście zbrodni,
lub niegodnego czynu: cofnij panie
rękę z tym krzyżem.

WOJEWODA.

Ten tylko dostanie
Ewkę, kto będzie ze mną!

ZAWISZA *(j. w.).*

Zpod pancerza
serce mi możesz wydrzeć, lecz przysięgi
nie złożę, choćbym miał paść pod bułatem,
póki nie będę znał spraw.

PUSZCZ *(do szlachty).*

Chłopak tęgi!
(Wojewoda szepce z opatem).

ZAWISZA.

Napróżno, panie, mówicie z opatem!
Sam papież, choćby klątwą mi zagroził,
przysięgi ze mnie na ślepo nie wydrze.

KURSKI *(na stronie).*

Rycerz mnie czarny do szpiku zamroził.

LUTYCH.

Jak wilk, gdy stanie ponad karkiem wydrze.

WOJEWODA *(po wahaniu się).*

Więc kwita z Ewki?

ZAWISZA *(spokojnie).*

Kwita wraz z żywotem.

WOJEWODA.

Nie dam ci.

ZAWISZA *(j. w.).*

I jej spytamy o wolę.

WOJEWODA.

Na nic jej wola, gdy ja nie pozwolę!

ZAWISZA *(j. w.).*

Na nic kijanka, gdzie mogą bić młotem.

WOJEWODA.

Grozisz mi?!

ZAWISZA.

Grożę tylko złym.

WOJEWODA.

Za złego

masz mię?

ZAWISZA.

Przymuś mię, bym miał za dobrego!

WOJEWODA.

Uchybiasz moim siwym włosom!

ZAWISZA.

Niéma
cnota siwizny.

PUSZCZ *(do szlachty).*

Jak wziął się, tak trzyma!

WOJEWODA *(pokrywając gniew).*

Dość! Co nam dłużej jakby starym babom
mleć językami i słowa pytlować!
Leliwa! rozkaż hajdukom i drabom,
aby przynieśli miody i mięsiwa.
Wina utoczyć! — Ichmościowie mili
Proszę do stołów! Niech u mnie nie zbywa
w niczem nikomu! Proszę pokosztować
mojego chleba. Skoroście raczyli
dom mój zaszczycić, skromny dwór mój w lesie,
proszę uprzejmie panów: rozgośćcie się!

(Siadają).

Mój przyszły zięciu, Zawiszo kochany,
ostroś mi stawił się na słowa: tuszę,

że równie ostro stawisz się na dzbany.
Proszę do stołu!

ZAWISZA.

Dzięki, ale proszę
wybacz, iż zanim usiędę na ławę
i kubka dotknę usty: spytać muszę,
jaką tu krwawą załatwiono sprawę
zanim przyszedłem? Ze słyszanych wnoszę
krzyków, że stał się tutaj mord. Niemogę,
rycerz, u stołu siąść, gdzie przedtem może
krew się niewinna lała.

WOJEWODA *(kordyalnie)*.

Mój Zawiszo,
kpisz, figle stroisz, czy pytasz o drogę?
Bydlę służący spił się i w pysk dostał,
a potem go pan Leliwa ochłostał.

ZAWISZA.

Ten straszny okrzyk, który tam na górze
wstrząsł przeraźliwie wieczorową ciszą,
nie był hałasem bitego hajduka.

OPAT.

Ja ci zaręczam, że tak było.

ZAWISZA *(skłaniając głowę).*

Wierzę. *(Siada).*

WOJEWODA.

Mości panowie! Tę skromną wieczerzę
pożyjcie sercem, jak sercem podana.
Panie Gwóźdź, proszę! Proszę, panie Szczuka!

GOZDAWA.

Prze zdrowie mości wojewody pana!

SZLACHTA.

Vivat!

WOJEWODA.

Pozwólcie ichmoście! Mymże to
jest obowiązkiem, a serca gorącem
pragnieniem, wypić wasze, ichmość, zdrowie!
Niech obdaruje was Bóg lat tysiącem! *(Nastraja się)*
Jeśli zalety mam jakie: zaletą
największą, żeście na prośbę pokorną
zjechać do Góry raczyli panowie!
Przyjąć niemogę was huczno i dworno,
ubogi szlachcic, ale czem bogata
chata, tem dusza rada do przebrania!
A naprzód niechaj mój dom dumny będzie,
że w gości moich najmilejszych rzędzie
dusz ojca widzę tu, księdza opata!

Niech żyje! *(Okrzyki)* Gdy się każda głowa skłania
przed dostojnością duchowną, powtóre
niechaj się skłoni przed krwi dostojnością:
niech żyje książę Felsburg!

GOZDAWA.

Czapki w górę!
Hop!...

ZAMIEROWSKI.

Przed książęcą waszą wysokością
do nóg upadam!

JASTRZĘBIEC.

Niechaj książę raczy
kiedy mój zamek odwiedzić w Porytem.
Dzień ten zapisać dam na sztabie złota!

WOJEWODA.

Leliwa! Każ dać hasło dla trębaczy! *(Trąby).*

SKALMIERSKI *(do księcia).*

I dla mnie byłoby wielkim zaszczytem
i niewymownym honorem...

WOJEWODA *(do dworzanina).*

Lasota!
Dolewać wina ichmościom! *(Po cichu)* Zawiszy
zwłaszcza lej tęgo, a mieszaj miód z winem,

niech mi do końca uczty ani dyszy!
(Głośno) Przezacni goście! Oto Pan Bóg zdarza,
iż mam niedługo nazwać moim synem
męża niejednym zdobnego wawrzynem,
pierwszego dzisiaj w tem państwie mocarza!
Zawiszo! Pójdź w me objęcia, mój synu!
Krwi bym przytoczył własnej temu winu
z samego serca!

ZAWISZA.

Dzięki wojewodo!

WOJEWODA *(do Puszcza)*

Więcej za jego sławą, choć tak młodą
pójdzie, niżeli za samym rozkazem
pana z Krakowa!

PUSZCZ *(do wojewody)*

Ten Sulimczyk młody
zda mi się cnoty wcielonej obrazem.

WOJEWODA.

Czego nie zrobi dziewka, zrobią miody.

OPAT *(do Jastrzębca)*

Wasz plan do serca przypadł mi! Na Boga!
Niechaj się wścieknie ksiądz biskup krakowski!

Ja mu takiego podsadzę ożoga,
że pstryknie w górę, jak węgorz od żaru!
Żem się był nieco zelżył z pętli włoskiej,
gdzie obrażają wodą treść puharu:
śmiał mnie strofować! A ksiądz Przepiórkowski,
co denuncyował mnie, już kandydatem,
aby z kolei zostać infułatem!
Czekaj!... *(mówi po cichu).*

(Felsburg z Barberem dźwigają się od stołu i przechodzą na bok).

FELSBURG.

Potomek narodu, co moce
rzymskiego złamał cesarstwa przed wieki:
mam z tą hołotą, co ledwie w pomroce
świtać zaczęła, sprząc się i pozostać
na zawsze mojej ojczyźnie daleki?
Dwornym zwyczajom, pieśniom trubadurów,
miłościom grafiń, i tu, wśród tych gburów,
sądzić pod lipą, lub psom grzbiety chłostać?
Król... lecz barbaryi...

KSIĄDZ BARBER.

Lecz król!

FELSBURG.

Tej hołocie
szlacheckiej stopę na karku postawię!

Gębę ku ziemi zgiętą skalę w błocie!
Bydło słowiańskie!

KSIĄDZ BARBER.

Twój syn niech cesarza
córkę poślubi! Wieki mojej sprawie
podziw słać będą, gdy orzeł dwugłowy
na wschód i zachód rozegnie swe głowy
w złotych koronach. *(Zawisza podnosi się z miejsca, Barber spostrzega to).* Ach! Tego mocarza
dyabeł tu przyniósł!

ZAWISZA.

Wojewodo! Czas ci,
bym się dowiedział, zacni i dostojni
panowie przecz się tak tłumno zjechali?
Czyli się jaka wojna rozpoczyna?
Czyli sąsiedzi jacy niespokojni
i wspólny odpór obmyśleć napaści
radzicie? Albo inna jest przyczyna?
Niech się też dowiem, czylibym w tej sali
siedział, gdybym był nie zszedł nieproszony?

WOJEWODA.

Synu Zawiszo! zgadłeś! Dla obrony
my się zebrali tu, lecz nie sąsiedzi
grożą nam, ani Krzyżowi rabusie,
ten wróg nad karkiem, ba! na karku siedzi...

ZAWISZA.

Mówcie, kto taki? a tuszę, że mu się
obronim, póki tem ramieniem władam!

PUSZCZ *(do Jastrzębca)*.

Już go krew dźwiga

WOJEWODA.

Nie prosiłem ciebie,
bom nie był pewny, czyli staniesz z nami...

ZAWISZA.

Jakżeście mogli wątpić, że w potrzebie
z wami nie będę?!

WOJEWODA.

My tu dawni sami
znajomi; w tobie, choć ufność posiadam — —

(Śpiew przerywa wojewodzie).

SZLACHTA *(w innym rogu sali pije i ochoci się)*.

Jechał rycerz na wojnę,
jechał rycerz na wojnę,
hej ha! na wojnę!
Spotkał dziewczę przystojne,
spotkał dziewczę przystojne,
hej ha! przystojne!

Panno, panno chodź ze mną,
panno, panno chodź ze mną,
hej ha! chodź ze mną!
bo w tym boru tak ciemno,
bo w tym boru tak ciemno,
hej ha! tak ciemno!
Nie powiemy matuli,
nie powiemy matuli,
hej ha! matuli!
Ciemny bór nas otuli,
ciemny bór nas otuli,
hej ha! otuli!

OPAT *(śpiewa)*.

A wyskoczył z za płota, z za płota, z za płota,
stary dyabeł Żegota, Żegota, Żegota!
Idzie biskup bez pole, bez pole, bez pole,
dyabeł sieje kąkole, kąkole, kąkole!

SZLACHTA.

Idzie biskup bez pole, bez pole, bez pole,
dyabeł sieje kąkole, kąkole, kąkole!
Huha!

GOZDAWA.

Dobre to wino!

KURSKI.

W łeb bije, jak cepem.

LUTYCH *(do szlachty innej).*

Mówię, żem sam był i zbrojny oszczepem...

LESZCZYC.

Łżesz!

LUTYCH.

Kto mi kłam śmie zadawać!

LESZCZYC.

Pan Lutych
Łże jak pies! Czterech miał ze sobą kutych
strzelców.

LUTYCH.

Dowiedziesz?!

LESZCZYC.

Na twym łbie dowiodę!

LUTYCH.

Spróbój!

KURSKI *(do Leszczyca).*

Boisz się?!

LESZCZYC.

Co?! Co?! Ja się boję?!

(Porywają się do mieczów).

GOZDAWA.

Stójcie u licha!

OPAT *(wypada z za stołu).*

Wnet ja zrobię zgodę!

(Dobywa miecza i wytrąca miecze z rąk obu, poczem ich roztrąca dłońmi)

SZLACHTA.

Vivat ksiądz opat!...

GOZDAWA.

Jak jabłko na dwoje rozciął!

SZLĄCHTA.

Niech żyje! *(Piją).*

GOZDAWA.

Hej! w górę puhary!

PUSZCZ *(pijany).*

Zda mi się na wnątrz... dopełniłem miary...

(Śpiewa):

Był opat raz w klasztorze,
miał brzuch, jakoby miech,
przepięknie grał na chórze,
a pił i jadł za trzech...

(Przez ten czas wojewoda w sposób kordyalny i ujmujący stara się Zawiszę objaśnić i pozyskać. Zawisza patrzy nań zdumiony wreszcie wybucha).

ZAWISZA.

Co? Co? Czy dobrze słyszałem?!

PUSZCZ *(pijany do Zawiszy).*

Rycerzu
W pancerzu,
Wino.... dziurga...
Wypij.... zdrowie.... króla. .. Felsburga!

(Wyciąga do Zawiszy rękę z puharem).

ZAWISZA *(wytrąca puhar).*

Precz z tym puharem!

(Puszcz cofa się).

WOJEWODA.

Co?! Ty śmiesz młokosie
moich pokrewnych!

ZAWISZA.

Na żywego Boga!
Czylim szalony?! Ludzie, mówcie, co się
to znaczy wszystko?!... Czyli to zapusty
i krotochwile?!

PUSZCZ.

A słowo stało się!...

WOJEWODA.

Nie są to maski! Jeślić głowa droga,
przestań!

ZAMIEROWSKI *(pijany)*.

Przecz robisz w zabawie dyzgusty?

ZAWISZA.

Mój ojcze! Wojewodo!

WOJEWODA.

Jużci zasię
ojcem mnie więcej zwać! Żegnaj się z Ewką!
Może i głowę pożegnasz przy czasie,
bo ci w niej, widzę, krew huczy zbyt krewko!

ZAWISZA.

Ludzie! Słyszycie! Ten człowiek szalony!
Mówcie mi! Mówcie, że z nim nie idziecie!
Mówcie na Boga, bo obłok czerwony
na oczy moje spada! Bo mi miecie
w źrenice świata spalonego łuna!
Mówcie mi! Krzyczcie tutaj do pioruna,
że sem jest jeden! że szalony! Bo tu

WOJEWODA.

Ewa!...

ZAWISZA *(w uniesieniu).*

Jużem ja jej
odżalił! Niech jej kto inny skroń mai,
niech jej kto inny na twarz rzuca róże...
Jestem rycerzem... czci rycerskiej służę
przed wszystkiem w świecie!

WOJEWODA *(maskując się).*

Odejdziesz spokojny,
tylko nam jawnej nie wypowiedz wojny.
Nawet ci Ewę dam, tylko przysięgniesz,
że choć nie z nami, po miecz swój nie sięgniesz
przeciw nam!

ZAWISZA.

Jać go do pochwy nie włożę,
póki wy ze mną wszyscy nie będziecie!

WOJEWODA.

Wojna więc?!

ZAWISZA.

Wbiłeś mi do serca noże
i krwią zapływam — ale dycham jeszcze!

WOJEWODA *(wybuchając).*

Słuchaj mię! Próżno ja nigdy nie grożę!
Znikniesz, jak gdyby cię nigdy na świecie
nie było!

ZAWISZA *(niewzruszenie).*

Bóg mię znajdzie wszędzie.

WOJEWODA *(do służby).*

W kleszcze
schwycić mu szyję!

(Służba rzuca się na Zawiszę).

ZAWISZA.

Ha!

(Roztrąca służbę — paru hajduków upada na ziemię — podnoszą się).

HAJDUCY *(cofając się).*

Jezusie Chryste!

WOJEWODA *(rzuca się ku Zawiszy).*

Na rogi czarta i ognie siarczyste!
Panowie! Za mną!

KILKU SZLACHTY *(stając przy Zawiszy).*

My z tobą! Zawiszo!

(Krótka walka. — Zawisza pędzi przed sobą przeciwników).

GOZDAWA.

Uciekać! w nogi!

KSIĄDZ BARBER *(cofając się).*

Szanuj szatę mniszą!

ZAWISZA *(w furyi).*

Co mi tam szata świecka albo mnisza!
(Wojewoda uderza na Zawiszę z mieczem. — Zawisza prawie nie patrząc nań, uderza go na odlew w głowę. — Wojewoda pada).

WOJEWODA.

Jezus Marya!
(Zawisza wypiera przeciwników ze sali i posuwa się za uciekającywi. Za nim jego stronnicy).

EWA *(wbiega ze schodów).*

Słyszałam krzyk! Boże!
Tatuś!... Maryo!... Tatuś!... *(pada zemdlona).*

LUTYCH *(wraca).*

Pan Zawisza
rozpędza zdrajców.

KURSKI *(za nim wchodząc. Szlachta).*

Padło ich tam nieco
od jego miecza. Pługiem tak nie orze
jako on mieczem. Pędzi ich do bramy
jak stado owiec!

LUTYCH.

Aż się iskry niecą
gdzie wytnie... *(Spostrzega wojewodę).*
Ale cóż to jest? Patrzcie-no!
Wszelki duch! We krwi wojewoda leży!
A przy nim dziewka! Niech kto prędko bieży
po wodę!... Może otrzeźwić zdołamy!
(Kilku wychodzi).

KURSKI *(klęka nad wojewodą).*

Nie dycha całkiem.

LUTYCH.

Panna ciepła, jeno
zemdlona. Kto ciął wojewodę mieczem?

KURSKI.

Zawisza.. Czekać, czy raczej ucieczem?

LUTYCH.

Czekajmy, aż powróci.

LESZCZYC *(wraca z wodą w hełmie).*

Oto woda!

KURSKI.

Na nic już... Ducha oddał wojewoda.

LUTYCH.

Et requiescat in pace... *(klękają).*

ZAWISZA.

(wchodzi z dobytym mieczem krwawym. Spostrzega klęczących).

Co się to znaczy?

SZLACHTA *(milcząc wskazuje trupa).*

ZAWISZA.

O! Ręka niech będzie przeklętą
co to zrobiła!... Rany! Rany! Rany!
A tu kto?!... Ewa!!... Niechaj runą ściany
i mnie zakryją!...

LUTYCH.

Panna żyje... ino zemdlała.

ZAWISZA.

Ewo! Nieszczęsna dziecino!...
Nie... nie śmiem, nie śmiem, nie śmiem ciebie
[wołać!...

(Wpadają wojewodzina i Dwina. — Kobiety z dworu).

WOJEWODZINA.

Co się tu stało?!...

KURSKI.

Okropne nieszczęście!
Pan wojewoda zabit.

WOJEWODZINA.

Mąż mój?! Kto go
śmiał tu we własnym zamku zamordować?!

LUTYCH.

Padł śmiercią zdrajcy...

KURSKI.

Zapłacił tak srogo
za zdradę sprawy najwyższej i świętej...

WOJEWODZINA.

O! o! o! *(słania się).*

KURSKI.

Zapamiętała się! W rękach ją trzęście!

DWINA.

Precz od niej!... Matko! Na później lamenty!
Kto zabił mego ojca?!

ZAWISZA *(podnosząc głowę).*

Ja.

DWINA.

Ty? Ty? Ty?!

EWA *(budząc się z omdlenia).*

Tatuś nasz! Tatuś! Tatuś mój zabity!...

DWINA.

Ty?! O morderca! Zbrodniarz! Zbój przeklęty!
Ty?! *(Do Ewy)* On go zabił! Patrz! Oto zabójca,
co nam naszego zamordował ojca!

EWA *(w najwyższem osłupieniu).*

On?!... Mieczem, którym sama mu podała?!

ZAWISZA *(z rozpaczą).*

Ewko! Na Boga!

EWA *(z rozpaczą).*

Jam cię tak kochała!...
Takem kochała cię... Takem kochała...
I tyś mi zabił ojca.. Tyś mi zabił
tatusia... Jam cię tak kochała... Duszę
za ciebiem chciała dać... I kląć cię muszę?!...

ZAWISZA *(j. w.)*.

Ewo!... Niechajże ziemia mię pochłonie!...
Bodajby czart mię w tej chwili zagrabił!

EWA.

Tatusiaś zabił... Ooo!...

ZAWISZA *(w rozpaczy)*.

Jam to w obronie
kraju... Czy dopust na mnie Boskiej kary?!
Ewo!...

EWA.

Nie mów mi nic! Jam tak bez miary
kochała ciebie!... Cała moja młoda
dusza twą była!... Nie chcę kląć twej głowy!
Niechaj mię weźmie śmierć!... *(biegnie ku wyjściu)*.

ZAWISZA.

Ewo! Na Boga!
(Biegnie za nią).

EWA *(od wyjścia).*

Pan Bóg ci przebacz! *(Wybiegają).*

KURSKI *(od okna).*

W Wisłę skacze! Woda
prysła!.. Zawisza od baszty zamkowej
prosto się rzucił!... Ze skalnego proga
już ją porwało...

. . . . . .

SPIS RZECZY.

TATRY. Str.

Pozdrowienie 3
Widok ze Świnicy do doliny Wierchci 4
W lesie 6
Przy Morskiem Oku 8
Melodya mgieł nocnych 10
Na »żelaznej drodze« pod reglami 12
Limba 15
Mgły nocne 16
W Kościeliskach w nocy 18
Do szczytu 19
Burza 21
Potok 23
Na samotnej drodze 26
Ciemnosmreczyński staw 27

LIST HANUSI.

List Hanusi 31

MARSZ ZBÓJECKI ZE »SKALNEGO PODHALA«.

Hej! idem w las 37

Z »ZAMYŚLEŃ«.

Cicho i wolno, jak mgła 41
Cudowna nocy, słodka i kojąca! 43
Żegnam cię, ty promienna 45
Nie mam już dziś przy sobie 46
Czasem zda mi się, że to wszystko sen 47
Czcze wyobraźni 49
Boże, ukryty 51

Z PRELUDYÓW.

Gdyby ból każdy 55
Na jakichś pustyń niezmiernych ogromie 56

Str.
Życie — to zwykłe życie ciche, stare 57
Kiedy patrzę na nędzę 58
Stokroć jest drzewu skazanemu lepiej 59
Szalone słonie przed się pędzą 60
Czasem nagle uczuwam 61
Idzie, na pola, idzie na bory 62
Po szerokiem, po szerokiem morzu 63
Czasem, gdy długo napół sennie marzę 64
Ponuro gwiżdże północy wiatr 65
Lubię w ednące kwiaty 66
Pamiętam ciche, jasne, złote dnie 67
Ku mej kołysce 68
W wieczorną ciszę 69
Skonaj ty serce wprzód 70

WIERSZE RÓŻNE.

Część pierwsza.

Credo 75
Duch 78
Któż nam powróci 80
Zwątpienie 82
Ciszy! Przestrzeni! 84
De Profundis 87
Życie 90
Vogue la galére 93
Nad polem pustem 95
Koniec wieku 96
Zapadłe jeziora 98
Zaczarowany las 99
Hymn do Nirwany 101
Dusza w powrocie 103

Część druga.

Na krolewskiem jeziorze 109
Milczenie, szafirowe niebiosów milczenie 112
Bo mi się tak wydaje 113
I czyż nigdy nie wrócę? 114
O Boże 115
Sferyczne duchy lotu 116
O wichrze, wichrze! 117
Nieskończoność 118
Albatros 120
Rzeka mistyczna 122
Łąka mistyczna 124

Część trzecia. Str.

Słuchacze 129
Refleksya 131
Muszla 133
Z brzegu 139

Część czwarta.

O sonecie 145
Zbrodnie 146
Widziadła okrętów 147
Wizya lipcowa 148
Wiosna 149
Królewny 150
Bajeczny kraj 151
Tęsknica 152
Szukają bóstwa 153
Symbol 154
Grób poety 155
Złoty ptak 160
Nad morzem 162
Anioł Pański 164
Pierwotna przyroda 168
Syryusz 169
Orzeł morski 170
Podwodne widmo 172
Wierzba 175
Słup ze spiżu 177
Na pamiątkę 178
Satyr 180
Parodya życia 181
Grota 182
Duch światła 183
Widziadło 185
Chrystus i Magdalena 187
Narodziny wiosny 188
Ballada 190
Czardasz 191
Oda jowialna 194
Oda przesttożna 195
Cogito, ergo sum 196

Z EXODUS (Rozdział XVII).

A onego czasu 201

KOLUMNY SAMSONA.

Przyprowadzono go popod kolumny 207
Wyspa umarłych 212

SZALONY FAUN.

Str.
Szalony wybiegł w pole Faun 217

TYTAN.

Tytan wstał rano 227

WIERSZ KU UCZCZENIU PAMIĘCI MICKIEWICZA.

Padliśmy w boju z rękoma skutemi 235
Naprzód więc, naprzód 239
Wieszczu! 241

Z »HASEŁ«.

Hasło 247
Cienie 248
Wody 249
Apostrofa 250

Część piąta.

Z WŁOCH.

Dzwony św. Piotra w Rzymie 255
W Kaplicy Syxtyńskiej 256
Słońce 257
Capri 259
Na Capri 260
W Zatoce Neapolitańskiej 261
Pod Portici 262
Pod Herkulaneum 263
W Salerneńskiej zatoce 266
Dziecinne westchnienie 267
Na via Caracciola 268
Pielgrzym 269
Mery 270
Morze 271
Dyskobol 272
Kallipigos 273
Danae Tycyana 274
Posąg Hermesa 275
W Pestum 276
Z Mori 277

POUR PASSER LE TEMPS OKTAWĄ.

Nigdy mu ramion pierwsza nie otwarła 281
FRAGMENTA Z DRAMATU 303

TT 20/10/67

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY

PG
7158
T4A17
1906

Tetmajer, Kazimierz
Wybór poezyj (nowy)